Opłata pocztowa uiszczona gotówką.

ŁOWIEC POLSKI



Ponowa w wilczych terenach. Fot. W. Wysocki.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 4 (852) 1 LUTEGO 1937 R.



Rozkład z jednego pięćdziesięciodwu-hektarowego pędzenia, osiągnięty w Szczepicach (Wielkopolska) w dniu 9 grudnia 1936 roku. W środku pani Marja Kiwerska ze Szczepic ze swemi trzema dzikami.

STRZELEC I MYŚLIWY.

Strzelectwo i myślistwo są to pojęcia, określające indywidualne zamiłowanie, upodobania i kunszt w pewnych ściśle rozgraniczonych, odrębnych zakresach, zasadniczo i teoretycznie nie mających ze sobą nic wspólnego. W praktyce jednak powyższe pojęcia blisko się stykają w tym sensie, że przeważnie koncentrują się w jednej osobie. Przypuszczam, że niewielu jest ludzi, którzyby uprawiali czyste strzelectwo, doprowadzali jego technikę do doskonałości, a jednocześnie nie uprawiali myślistwa i nie czuli doń pewnego zamiłowania. Odwrotnie, mało chyba znajdziemy myśliwych, którzyby lekceważyli sobie kunszt strzelania i nie starali się go udoskonalić.

Jeżeli można sobie wyobrazić znakomitego strzelca, którego myślistwo nie pociąga, wobec czego nie uprawia on polowania, to takiego myśliwego, któregoby nie obchodził celny strzał, prawdopodobnie na świecie niema, jest on bowiem integralnie związany z samą procedurą łowiecką.

Reasumując powyższe, dochodzi się do wniosku, że strzelcy przeważnie uprawiają myślistwo, myśliwi zaś bez wyjątku powinni mieć zamiłowanie do strzelectwa i dążyć do udoskonalenia się w tym kierunku. Mimo, że strzelec i myśliwy przeważnie koncentrują się w jednej osobie, niemniej te dwa określenia nie są synonimami. Jak w takich warunkach przeprowadzić linję demarkacyjną i ustalić, kogo możemy nazwać strzelcem, a kogo myśliwym?

Nieraz skala tych upodobań tak jest różna, że podobne rozgraniczenie nie przedstawia większych trudności, niemniej w bardzo wielu wypadkach szale tych zamiłowań poniekąd równoważą się i nie występują zbyt jaskrawo nazewnątrz. Trudno wówczas odróżnić strzelca od myśliwego, utarło się więc w tych wypadkach pierwszy tytuł opuszczać, a pozostawiać drugi.

Ujmując teoretycznie tę kwestję, oraz wychodząc z tej zasady, że każdy kto poluje jest myśliwym, okaże się, że posiadamy ich niewspółmiernie dużo, strzelców zaś bardzo mało. Życiowo sprawa powyższa przedstawia się wręcz odwrotnie, bo prawdziwych myśliwych jest mało, a strzelców polujących bardzo dużo.

Najwidoczniej strzelectwo uważane jest za pośledniejsze zamiłowanie od myślistwa, bo bardzo wielu doskonałych strzelców, lecz miernych myśliwych, srodze zostałoby dotkniętych, gdyby ktokolwiek zakwestjonował ich przynależność do bractwa św. Huberta. Jest to skądinąd drażliwość całkiem nie na miejscu, bo Wilhelmów Tellów nie spotykamy na każdym kroku i równie trudno być dobrym strzelcem, jak wytrawnym myśliwym. Pospolite są powiedzenia w potocznej mowie: to znakomity strzelec, lecz żaden myśliwy, lub: to świetny myśliwy, ale marny strzelec. Za pierwsze często czują się urażeni, za drugie — nie.

Przy kwalifikacji i odróżnianiu strzelca od myśliwego każdy może się kierować innemi przesłankami, napewno inaczej ujmie tę kwestię strzelec, a inaczej myśliwy. Nie mam najmniejszego zamiaru uzgadniać poglądów powyższych dwóch obozów, niech każdy według swego wewnętrznego przekonania stawia jaką chce djagnozę, moje zaś teoretyczne wywody chcę nawiązać do pewnych osobistych zapatrywań, które postaram się zilustrować obrazkami, wykrojonemi z życia.

*

Byłem szczęśliwym posiadaczem dobrych wilczych terenów, dziś tereny pozostały, wilków, niestety, brak. Doświadczenie, które zdobyłem w tej dziedzinie, pozwalało mi organizować na nie co roku polowania i zapraszać przyjaciół myśliwych. Spora ich garstka przewinęła się i upolowała u mnie swe

pierwsze wilki. Jako gospodarz, mało z nich korzystałem starając się gościom udzielać pierwszeństwa rzadkiego strzału. Jeżeli tylko miałem nowicjusza, który jeszcze wilka nie zabił, rezerwowałem sobie miejsce obok niego, by służyć mu cenną wskazówką, pozatem nie strzelałem do wilków, które pośrednio mogły wyjść na niego, czego od innych moich gości wymagać nie mogłem. Powyższe względy, choć pozbawiały mnie nieraz strzału, dawały mi bogate pole do ciekawych obserwacyj, dotyczących zachowania się myśliwego przy pierwszem spotkaniu z rzadką zwierzyną. Obserwacje w tym zakresie tylko w takich okolicznościach mogą być ciekawe, bo wszelkie odruchy lub przejawy przy zetknięciu się z drobną zwierzyną nie są miarodajne i nie dają możności zorjentowania się w odczuciach i przeżyciach myśliwego.



Odyniec wagi 195 kg, ubity 7. XII. 1936 r. w Swarycewiczach na Polesiu przez gen. Cz. Jarnuszkiewicza.

Zachowanie się myśliwego w momencie strzału nie jest jedynym wskaźnikiem, dla określenia kategorji, do której może on być zaliczony. Nieraz wystarczyło mi zwrócić uwagę na stopień zainteresowania, które wzbudza w moim gościu przygotowawcza procedura każdego polowania, by prawie bez omyłki zdefinjować, czy jest on strzelcem, czy też myśliwym. Ten, który całkiem nie interesuje się tropieniem, wycinaniem ostępu, jednem słowem techniczną, przygotowawczą stroną, który biernie pozwoli doprowadzić się na stanowisko, a zwłaszcza jeżeli zada sakramentalne, steoretypowe pytanie: „a z której strony rusza naganka", to — żaden z niego myśliwy, a przyszłość może dopiero zawyrokować, czy jest on dobrym strzelcem.

Zanotowane mam w pamięci dwa ciekawe epizody, które się wydarzyły w tym samym sezonie myśliwskim, a kontrasty ich są tak silne, że komentarzy nie potrzebują.

Przyjechał do mnie stary mój znajomy, z którym wiele w życiu polowałem, coprawda nie w warunkach dzikich kniej poleskich, lecz w zachodnich, pierwszorzędnych łowiskach. Znałem jego wysokie walory strzeleckie, o kwalifikacjach zaś myśliwskich nie miałem bliżej skrystalizowanego zdania. Zaraz po jego przyjeździe wilki szczęśliwie zaległy i wszelkie czynności przedwstępne pomyślnie zostały zakończone, staję więc na stanowisku pomiędzy nim i drugim gościem, który też po raz pierwszy u mnie poluje. Wilki, prawidłowo ruszone, w parę minut po trąbce podchodzą do stanowisk, wychodząc wprost na mnie. Nie strzelam, mając nadzieję, że zawrócą na któregoś z moich gości, lecz najwidoczniej jeden z nich musiał wykonać jakiś ruch nieopatrzny, bo zawracają w miot, uderzają w przeciwległe sznury, wychodzą na drugi flank i tam jeden z nich pada, a drugi rozpędzony sunie wzdłuż linji gęstą drągowiną. Odległość, widoczność, oraz rozpęd wilka były takie, że nie przyszłoby mi nawet na myśl zmierzyć się do niego, tymczasem gość mój, uzbrojony w sztucer, strzela, i wilk pada, jak piorunem rażony.

Gdybym nie wiedział z jakiej klasy strzelbą kulową mam do czynienia, gdybym nieraz już nie był świadkiem nadzwyczajnej prezycji jego strzałów, zawszebym strzał kulowy do wilka w tych warunkach poczytywał za przypadek. Niemniej fakt, że przy pierwszym swym strzale do wilka nie stracił ani atomu niebywałej techniki i precyzji, że potrafił do niego strzelić z równą zimną krwią, jak do zwykłego celu, przesądza w mojem przekonaniu jego klasyfikację. Tak strzelić mógł najwyższej klasy strzelec, ale nie myśliwy.

W parę tygodni po opisanych faktach zjechał do mnie młody myśliwy, z którym nigdy jeszcze nie zetknąłem się na tem polu. Zacząłem go pilnie obserwować, wszystkie bowiem pozory przemawiały za tem, że jest to materjał na pierwszorzędnego myśliwego. Niezrażony długotrwałemi niepowodzeniami, z zapałem brał udział w całej przygotowawczej procedurze łowieckiej i doskonale zaczął się w niej orjentować. Udało się nam nareszcie wilki wziąć w sznury, zrobiłem więc co mogłem, by zapewnić mu strzał. Miot wypadł na rzadkim mszarze o dużej widoczności, stanąłem obok niego, udzieliłem mu niezbędnych wskazówek i czekałem na epilog.

Rozgrywka była krótka, bo, jak zwykle, przy prawidłowo wziętym miocie, wilki nie kazały na siebie czekać. Zobaczyłem zdala wilka, który po pod moje stanowisko wprost na niego się kierował, a doszedłszy na kilkanaście kroków, stanął na zupełnie czystem miejscu. W tej samej chwili padł strzał, a wilk w wielkich susach znikł w ostępie. Podeszliśmy natychmiast, by sprawdzić miejsce strzału, bo wydało się nieprawdopodobnem, żeby mógł być chybiony, niemniej rzecz nieprawdopodobna okazała się możliwą, wilk bowiem poszedł zdrów i cały, a wszystkie śruty odnaleźliśmy w drzewie, na wysokości półtora metra ponad normalną wysokością wilka. Zgórować do wilka, stojącego o kilkanaście kroków, na wysokość dwukrotnie przekraczającą jego wzrost, mógł tylko prawdziwy myśliwy. Pierwsze moje o nim wrażenie było słuszne, ten strzał pasował go w mych oczach na rycerza.

Obawiam się, by mnie źle nie zrozumiano i nie wyciągnięto z powyższych przykładów paradoksalnej konkluzji. Nietrudno o nie, gdy się zważy, że dyskwalifikuję myśliwego za celny strzał, a apoteozuję za sromotne pudło. Niemniej, jeżeli się nie zechce szukać dziury w całem i bezstronnie rozważy się zajęte przeze mnie stanowisko, przypuszczam, że znajdę takich, którzy zdanie to podzielą. Zdaję sobie sprawę, że wiele objekcyj można wysunąć przeciwko systemowi takiego rozumowania. Przytaczając podobne przykłady, nie można nie brać pod uwagę całego szeregu okoliczności, które mogą wpływać na rezultat danej chwili: przypadek, temperatura, nerwy i t. p. Tak, wszystko to jest słuszne, tylko myśliwy posiada o jeden zmysł więcej i wyczuwa u bliźniego tę iskierkę, tlejącą i korespondującą z jego własnemi odczuciami łowieckiemi, a instynkt ten rzadko zawodzi.

WACŁAW PODHORSKI

MYKITA.

Luty owego roku był wyjątkowo kapryśny. Po początkowych mrozach, które skuły ziemię do głębi, otworzyły się upusty niebieskie. Trzy dni i trzy noce walił śnieg, pokrywając świat jednolitą, kilkometrową warstwą. Zginęły w białym puchu drogi, rowy, zawiane zostały nasypy kolejowe i tylko gdzieniegdzie wśród bezkresnej bieli czerniał zrąb napół zasypanej chaty. A potem nastała odwilż. Rtęć w termometrze podskoczyła o dwadzieścia kresek, o szyby dzwonił rzucany podmuchami wiatru deszcz, a spadające z dachu krople wybijały na rozmiękłej ziemi beznadziejnie monotonny rytm.

Nie było lepiej w lesie. Przytulne zazwyczaj zagajniki, obecnie uginające się od nadmiaru wody, groziły za lada dotknięciem ulewą kropel; na niżej położonych miejscach zebrały się minjaturowe jeziorka, przesączające wilgoć do nor.

— Wszędzie mokro, mokro, mokro... — szczeknął z niezadowoleniem rudy Mykita, senjor lisiego rodu, przysiadłszy w drągowinie, gdzie mu mniej dokuczał ustawiczny szmer kapiącej wody. Stary już był, lecz w pełni jeszcze zachował giętkość stawek i ostrość słuchu, a jego uwodzicielskie zdolności szeroko były komentowane wśród okolicznych lisów. Teraz, oczekiwał nadobnej liszki, by wspólnie spróbować szczęścia pod wiejskiemi opłotkami. Mykita bowiem hołdował starym zasadom i długo sobie przygotowywał grunt, zanim przystępował do decydującego ataku.

Czas jednak mijał i stary wyga począł się niecierpliwić. Załośnie obejrzał horyzont, zasnuty niebiesko-szarym welonem mgieł i drobnego deszczu, i wstał, strząsając ze wspaniałego futra gęsto osiadłe krople.

— Zaniosło się na dłużej — pomyślał skwaszony.

Naraz drgnął. Ruszył parę razy wietrznikiem, jakby dla upewnienia się i, zapominając o wszystkiem, posznurował tam, skąd dochodził go luby wiatr zająca. Tylko puszysta, czarno pręgowana kita, smętnie opuszczona ku dołowi, świadczyła o minorowym nastroju właściciela.

Zawiodły jednak lisiurę przewidywania meteorologiczne. Nie minęła doba, gdy silny podmuch z północy rozpędził nagromadzone chmury i pokrył świat pajęczą warstwą szkliwa. Las zasypiał, zakuty w misterny pancerz lodowy, a dobrotliwa noc otuliła go nadto ciepłych, śnieżnym kożuchem.

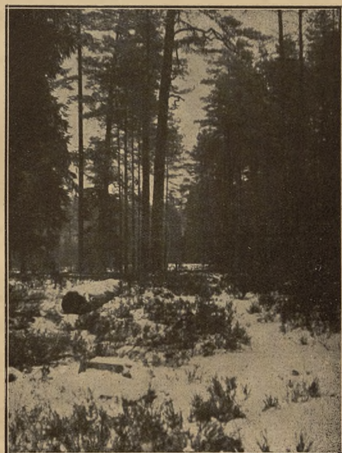
Ranek wstał dziwnie jasny. Wschodzące słońce grało tysiącem barw na ośnieżonych czubach wyniosłych świerków, ogarniając stopniowo coraz to niższe drzewa, by wkońcu dotrzeć do pogrążonego jeszcze we fioletowym mroku podszycia. Cisza panowała tu niezmącona. Czasem tylko gdzieś w górze oderwał się nawisły płat śniegu i z lekkim szmerem sunął w dół, ciągnąc za sobą ogon srebrnego pyłu.

Niedługo jednak było dane lasowi trwać w niemym podziwie nad sobą samym. Od szosy, niesiony porannym wiatrem, nadleciał turkot wozów, potem stłumiony gwar rozmów. To człowiek, odwieczny przyjaciel i odwieczny wróg lasu, dawał znać o swem istnieniu. Jak cienie, przesunęli się pod drzewami, pozostawiając w dziewiczym śniegu szerokie ślady stóp. Zamarli bez ruchu wzdłuż duktu.

Hen, w oddali, zahuczał róg, po chwili falsetem odpowiedziała mu trąbka. Pędzenie się rozpoczęło.

A Mykita w błogim śnie rozprostowywał strudzone nocną wędrówką kości. Napełniony żołądek i zastarzałe nawyczki sprawiły, że nawet w marzeniach nie opuszczała go postać owej młodej, wysmukłej liszki, niedoszłej towarzyszki wypraw pod wiejskie opłotki.

Nagle w kołysankę miłosnych snów wdarł się, jak zgrzyt, brutalny odgłos kołatek. Czujne w tysiącach przepraw, wyćwiczone uszy drgnęły, sygnalizując niebezpieczeństwo, lecz rozprężony w zjami umysł tkwił nadal w stanie rozkosznego bezwładu. Dopiero gdy z monotonnem kołataniem zlał się nienawistny głos ludzki, lisiura wytrzeźwiał i, klnąc w duchu miłosne omamy, posznurował naukos zagajnika. Osadził go w miejscu bliski strzał, a w chwilę później omal nie zderzył się z innym, uciekającym w popłochu lisem. Spojrzał i szybko wsadził pysk w śnieg, by się przekonać, czy nie śni...



Fragment terenów łowieckich Sportowego Towarzystwa Łowieckiego w Wilnie. Fot. Inż. E. Woynicki.

— Lisiczka... — szczeknął.

Ale ona już go zauważyła i z cichem skomleniem opowiadała o swej przygodzie. Ledwie zasnęła, gdy obudziły ją jakieś nieokreślone hałasy, posznurowała więc w przeciwnym kierunku przez dukt, aż tu wtem od drzewa oderwał się cień, błysnęło, zagrzmiało i coś gradem upadło tuż za nią.

— No i udało mi się szczęśliwie wrócić — zakończyła.

Mykita aż przysiadł z wrażenia. Zburczał ją też zaraz za nieostrożność, ale serce wezbrało mu niezmierną tkliwością.

— Już ja ciebie z tej matni wyprowadzę — warknął. — Nie w takich bywało się opałach — dodał z przechwałką w głosie.

Spojrzała nań z wdzięcznością i posznurowali razem.

Stojący na flance myśliwy, kątem oka dostrzegł w drągowinie rudą plamę, której przedtem nie było. Ostrożnie odwrócił głowę i ujrzał niedużego liska, przemykającego się między drzewami. Już poderwał broń do ramienia, gdy szelest i gwałtowne szczekanie skłoniło go do spojrzenia za siebie. Na tle zagajnika defilował ujadając wspaniały lis z czarną pręgą wzdłuż grzbietu i, zanim skonsternowany myśliwy

zdołał się zmierzyć, równie nagle, jak się wyłonił, prysnął z powrotem. W bezpiecznym gąszczu Mykita odsapnął, krótko odpowiedział na dalekie radosne skomlenie ocalonej Lisiczki i ruszył dalej. Rozpierał go tryumf z udanego manewru i zwycięstwa nad człowiekiem, tłumiąc intuicyjną ostrożność.



„Koniec mykity". Z serji, odznaczonej srebrnym żetonem na konkursie fotogr. „Łowca Polskiego". Fot. Mjr. Bebenkowski.

Po pewnym czasie wyjrzał, rozejrzał się niedbale wokoło, dla uspokojenia sumienia ruszył kilkakrotnie wietrznikiem i, przeświadczony o swej doskonałości, wolno posznurował przez drągowinę, oraz dzielący ją dość szeroki dukt, do sąsiedniego młodniaka. Odbył w ten sposób prawie połowę drogi, ze wzrastającym, w miarę zmniejszania się odległości, poczuciem bezpieczeństwa, gdy z za sosny błysnęły ku niemu wolno wznoszące się lufy.

Na dziesiątą część sekundy zawisnął Mykita oczyma na ich śmiercionośnych otworach. Na rejteradę było zapóźno. Instynktownie rzucił się w bok i w olbrzymich susach sadził przez dukt. Tu dosięgnęły go pierwsze śruty. Opadając po skoku, uczuł w przedniej stawce przenikliwy ból, druga zaś nie wytrzymała ciężaru i lis potknął się, dwukrotnie uderzając mordą o ziemię. Na szczęście tuż ciągnęła się drągowina.

Osiągnięcie jej było dziełem chwili. Teraz tylko, lawirując przemyślnie, przebyć ją do końca... Jeszcze mała polanka, jeden sus... drugi... i niosący wybawienie młodniak jest zaledwie o parę kroków. Sprężył się do ostatniego skoku.

W tym momencie któryś z myśliwych, znalazłszy przesmyk między drzewami, pociągnął za cyngiel. Mykita wyskoczył w górę i ciężko grzmotnął o śnieg. W mózgu rozbrzmiały mu tysiączne dzwony i cichły wolno, bardzo wolno, a wraz z niemi przechodził tępy ból w okolicy łopatki. Jedynie zadarta ku niebu kita drgnęła febrycznemi rzutami, aż wreszcie miękko spłynęła na ziemię, jak szamotany jesiennym wiatrem i strącony duży, zrudziały liść.

JÓZEF JASTRZĘBIEC-SZCZEPKOWSKI

NIEZWYKŁE POLOWANIE.

W majątku Cz. na Pomorzu gospodarka łowiecka była prowadzona racjonalnie. W niedużym lesie, bo obejmującym tylko 50 ha, roiło się od sarn, zajęcy, bażantów, a co za tem idzie — wiele było „kiciastych" canidów. O tych ostatnich właśnie będzie mowa.

Las (starodrzew, zagajniki, splątane kłębowiska jeżyn i malin, łąki) opada stromo do jeziora. Zwierzyna posiada tu idealne warunki bytu. Paśniki i lizawki porozmieszczała troskliwa ręka gospodarza. W zimie, gdy ciężkie śniegi pokrywają ziemię, a mróz zetnie je na kamień, wraz wyjeżdża do lasu pług śnieżny i toruje drogę do paśników, by zmarznięty śnieg nie pokaleczył delikatnych cewek sarn.

Bażanty, przyzwyczajone do częstych odwiedzin sanek z ziarnem, nie kryją się wcale.

Lisy gospodarzą tu zbyt „wydajnie" w ostatnich latach, chociaż dzięki selekcji, przez nich przeprowadzanej, zwierzyna jest mocna i zdrowa.

Jednak w lutym zbyt dużo liszek zostało zapłodnionych, a wszystkie gniazda wychowały się zdrowo, bez żadnego ubytku. Skoro spadł drugi śnieg, naliczył leśnik aż 28 lisów — po śladach.

Prędko wybudowano ambonę, padłego konia położono na przynętę. Ale czasu brak. W dodatku śnieg znikł, noce były bezksiężycowe, tylko chmury ciągłe i chmury. Czekam więc z upragnieniem śniegu. (Lisy przychodzą co noc na ucztę).

Tymczasem urządza się pędzenia w lisich ostępach, i to raz tylko w niedzielę, bo szkoły niema. Tylko w niedzielę można się wyrwać z dużego miasta na wolne, szerokie przestrzenie, można się upić świeżem powietrzem, odetchnąć — sam na sam z przyrodą... Pędzenia nie dają zwykle wyniku, raz tylko, na początku listopada dotknął jeden leśnik lisiej kity. Ja nie miałem szczęścia.

„Najodpowiedniejsze miesiące na polowanie, to koniec mroźnego listopada, grudzień i styczeń, a więc ten okres kiedy lis jest zgłodniały i kiedy na grożące mu niebezpieczeństwo, pod przymusem głodu, mniej zwraca uwagi".

„Najodpowiedniejszemi są godziny ranne, kiedy lis zaczyna myszkować w bardziej odkrytych miejscach, a także w szczerem polu".

„Rano podejdzie też lis najchętniej na wabia".

„Najlepszym i najodpowiedniejszym terenem jest brzeg lasu, a nawet przylegające, zwykle dzikie, rzadkie krzaczki, na piaszczystej glebie rosnące, a leżące na drodze rannych wędrówek rabusiów, wymykających się z lasu na myszkowanie w pole".

Przestudjowawszy dokładnie kilkanaście razy Dylewskiego i wszystko, co dotyczy lisa w dziełach Krawczyńskiego i X. Niedbała, spodziewałem się, że nic łatwiejszego, jak iść, zwabić lisa i zabić.

Doskonale! Głos mordowanego zająca, i to w dodatku kijem przez naganiaczy, słyszałem kilkanaście razy.

Wstałem o piątej. W lesie byłem o szóstej. Koniec listopada — jest szaro, dzień cichy, bez wiatru, mrozu dwa stopnie. Liście szeleszczą pod nogami. Kozy zdziwione podnoszą kształtne łby, łyżki wyprostowane nieruchomo — patrzą. Nie wstają, leżą dalej.

Doszedłem do miejsca, które już przed tygodniem upatrzyłem, jako odpowiadające zupełnie warunkom, podanym przez Dylewskiego, który już w swej praktyce „miewał strzały na 17-cie kroków".

Usadowiłem się za krzakami; stoję nieruchomo. Cisza zupełna. Tylko rozbudzone sikorki uwijają się już po drzewach. Słychać czasem metaliczny głos gila.

Pole widzenia — 500 kroków.

Odczekawszy 15 minut, zaczynam wabić. Popiskuję, jakgdyby dwie myszki się przeganiały, gziły ze sobą. Nic — cisza. Wyjmuję ostrożnie wabik, przekładam na spazmatyczny krzyk zająca. Serce skacze do gar-

dła! Czegóż, do djabła, tak głośno wali? Przecież w każdej chwili może zjawić się lis!...

Żaden dobijany zając nie wydawał tak bolesnego głosu, żadna myszka nie piszczała z takiem przejęciem! A tu, psiakrew, nic! Lisa ani widać.

Słusznie się obawiałeś, panie Dylewski, żeby nie posypały się pod Twoim adresem mocne, myśliwskie przekleństwa, szczególnie młodych, zapalonych myśliwych!

Gdybyś mnie wtedy słyszał! Życzę Ci z całego serca, jak najszczerzej, żeby i Ciebie choć raz tylko lis wykiwał, to znaczy nie przyszedł na wab. Próbowałem wówczas jeszcze w trzech miejscach. Ale gdzie tam! Jakby ani jednego lisa nie było. Lecz pocieszam się: trzeba być cierpliwym; nie dziś, to następnym razem...

A teraz opowiem, jak w tydzień później, w niezwykły sposób zdobyłem pierwszego lisa.

Część lasu była kiedyś drenowana. Grube rury, o średnicy 25-ciu centymetrów, wkopano w ziemię na głębokość 1 metra. Było to kiedyś, przed 20-tu laty. Do dziś zachowały się jeszcze rowy, a w jednym z nich wkopana rura, długości 150-ciu metrów. Gdy spadną śniegi, a ziemię mróz ściśnie serdecznie, lisy wprowadzają się do owej rury. (W grudniu 1935 r. było ich pewnego razu 12). Nie ma ona innego wejścia, jak tylko z dwóch końców.

Ażeby się upewnić, czy lisy włażą do rury, wtyka się w ziemię przed jednem i przed drugiem wejściem gałązkę. Gdy przewrócona do środka — lis w dziurze, gdy nazewnątrz — poszedł „na raki". Sposób niezawodny. Tak i teraz upewnił się leśnik, czy lisy są. Rzeczywiście były!

W majątku była stara suka „Siuta" — jamnik. Pamiętała dobrze, mimo to, że już 11 razy zmieniła „suknię", dawne czasy, gdy często dławiła lisy w norach.

Pewnego więc grudniowego popołudnia, z Siutą na bryczce, jadę z leśnikiem do lasu. Leśny z psem zostaje z jednej strony rury, ja idę do drugiego wylotu. Za chwilę ma puścić psa.

Staję nad dziurą dosłownie, bo mam ją pod sobą na metr w ziemi. Gdy lis wyjdzie, będzie przedemną. Stoję, czekam — kolano lewej nogi trochę drży, mięśnie napięte, gotowe w każdej chwili do rzucenia strzelby do twarzy — oczy wbite w jeden punkt. Czas upływa, szczekania psa nie słychać.

Nagle wysuwa się odrazu z otworu cały łeb, pakuje się trochę ciężko reszta ciała, rusza przed siebie. Wypuszczam go na 15 kroków i strzelam. Cały nabój został w karku.

Stoję nieruchomo, wreszcie wyzwala się tak długo w piersiach tajony krzyk: pierwszy lis!

Podbiegam, podnoszę go, głaszczę kitę. Futro lśniące, zbite, złoto-żółte...

Wracam na swoje miejsce, lisa kładę za sobą. Nim upłynęło pięć minut, wysuwa się z rury ostrożnie coś czarnego, porusza się prędko, wietrzy niespokojnie bratnią krew. Pomału, pomaleńku, milimetr za milimetrem, wysuwa się cały łeb. Co najsilniej utkwiło w pamięci, to uszy, czarne łatki na uszach. Niespokojny, wietrzy na wszystkie strony — muszka znalazła się, nie wiem kiedy, na środku łba. Gdy strzelę — roztrzaskam. Szkoda.

Wreszcie przekrzywia się łeb śmiesznie do góry, do tyłu (jak mały psiak, gdy się bawi) i błyskawicznie znika. Spostrzegł mnie.



Miłe trofeum wprawia w dobry humor. Fot. Inż. E. Woyniocki.

No, już teraz koniec. Nie wylezie, choćby 10 psów puścić. Zadławią go w rurze, ale nie wyjdzie. Wiatr krwi „rodzinnej" zaniepokoił go silnie, mówił o niebezpieczeństwie, lecz gdy mnie spostrzegł, zrozumiał zapewne wszystko. Teraz żałuję, że nie strzeliłem. Miałbym dwa lisy. „Daj kurze grzędę — ona: wyżej siędę!" Tak samo ze mną. Wreszcie wmówiłem w siebie, że było za blisko, że roztrzaskałbym łeb. Koniec zabawy.

Zatkaliśmy otwory grubemi polanami drzewa. Gdy potrzyma się lisa tak ze dwa dni, to potem, ledwo wyjmie się drewno, wyskoczy, mając dobry apetyt... Ale cóż się na drugi dzień okazało? Leśnik otworzył gębę ze zdumienia, gdy zobaczył polana wciągnięte wgłąb, do rury, a lisów ani śladu — naturalnie! Gdy mi o tem powiedział, rozdziawiłem gębę!

Teraz nieprędko wejdą lisy do rury, może dopiero za 3 tygodnie.

J. K.

WRAŻENIA Z BRYTYJSKIEJ KOLUMBJI.

(Dokończenie).

Pidcock układa ze mną plan łowów. Następnego dnia ruszam z wnukiem jego wgłąb puszczy, aby przenocować w lesie i świtem znaleźć się przy zakręcie jednego ze strumieni, ulubionego miejsca rybich połowów niedźwiedzi.

Dick jest rosłym dwudziestoletnim chłopcem, mimo że uchodzi w domu za „*baby*". Aby w zupełności zakonspirować nasz pobyt w puszczy, nie palimy tej nocy nawet ogniska. Termosy z gorącą kawą aż nadto wystarczają, a ciepły śpiwór, rozłożony na miękkiej podściółce w mchów i liści, pozwala doskonale wypocząć po trudach ciężkiego marszu.

Nadchodzący dzień był jeszcze otulony w bronzowawo zielony całun ustępującej nocy, kiedy zbliżyłem się i ukryłem w zaroślach, nad brzebieg usianego skałami strumienia. Szemrzą i pluszczą wartkie, górskie wody. Gdyby nie ten bijący maczugą w nozdrza smród, straszliwy smród, cóż za rozkosz byłaby obserwować i napawać się niecodziennym widokiem, jaki roztaczał się przede mną. Dwudziestofuntowe, srebrnołuskie łososie wypryskują ze spienionych wód, dążąc wytrwale naprzód. Gdy się zbliżałem, poderwałem taką chmurę krzyżówek *(mallards)*, że przez chwilę byłem oszołomiony łomotaniem skrzydeł i panicznym wrzaskiem.



Przy namiocie, zaopatrzonym we wszelkie „dobro".

Na wzgórku, wśród kłód połamanych wiatrołomów, w splątanym gąszczu dzikich malin i krzewów siedzę na zakręcie, nad wierzchołkiem utworzonego przez strumień kąta rozwartego. Przed oczyma mam przeciwległy brzeg, łagodnie nachylony, usiany odłamkami skał, który, mniej więcej w odległości 50 — 60 yardów od strumienia, łączy się z gmatwaniną i chaosem mieszanej, o bujnem podszyciu puszczy.

Z ciemnego, wilgotnego, ciężkiego lasu, małą żmijką wypada młodszy braciszek obserwowanego strumienia, zasilając jego wody i warkotliwie tocząc się po kamieniach, tworzących jakby stopnie. Wiem już o tem, że najczęściej tym oto szlakiem przychodzą na ucztę czarni brzuchacze. Świta. Mgły, jeszcze niezdecydowanie, jakby mimochodem, zawadzają kędziorami o pnie i konary drzew. Jest bardzo ciepło, parno nawet. Leniwie tułając się, mgły stwarzają dziwnie miękki, puszysty nastrój.

Mży cieniutki, drobniusieńki, jakby przez najmniejsze oka przetaka rozsiewany deszczyk. Żadna gałązka nie drgnie. Niemrawo, jakby z konieczności tylko, budzi się dzień — zupełnie bezwietrzny, cichy i martwy. Tylko ta mgła! Miast rozedrzeć się, miast znikać, coraz głębszemi, sutszemi zasłonami spada, aby po upływie krótkiego czasu zawoalować i przesłonić rozpostartą na przeciwnym brzegu drzemiącą wilgotną puszczę. Widzę jeszcze tylko resztki skał, usianych tuż u wylotu ruczaju, pryskające łososie i bielejące podbrzuszami trupy znoszonych prądem ryb. Po chwili znajduję się w wacie tak gęstej mgły, że własnej, wyciągniętej ręki, aby dotknąć ramienia mego towarzysza, nie widzę.

Son of a gun! Dammed foghy! (przeklęta mgła). Klniemy i poomacku pniemy się w górę, aby wydostać się z tej niesamowitej, gniotącej śmietany. Krok w krok, trzymając się pasa kurty Dicka, posuwam się wolno w tej nadziei, że może w górze, bliżej szczytów, uwolnię się od wilgotnego, lepkiego, puszystego koszmaru, z tej waty, która mi zepsuła i uniemożliwiła obserwację i polowanie.

Mleko mgły, które nas oślepiło, powonienia jednak nie przytępia. I sunąc nieporadnie w górę, mam we wszystkich fibrach nieznośną kompozycję zapachu gnijącego ścierwa, rozkładających się liści, ze swoistą, nieprzyjemną wonią wilgotnych mchów, które gęstą obfitą brodą pokrywają części pni, wystawione na północ.

Mogła być godzina dziesiąta, kiedy nagle odczułem lekki powiew ze strony cieśniny morskiej, a w kilka minut później widziałem już skrawki błękitu nieba. I równie szybko, jak zapadliśmy w gęste puchy mgły, tak prędko bryza od morza rozpędziła gniotące nas stupudową pierzyną opary.

Przez korony drzew złocisty promień słoneczny gnębi pomrokę, oświetlając małemi, wesoło migocącemi skrawkami coraz to inną część naszej drogi. Łatwo domyślić się, że nie byliśmy zbyt daleko odsunięci od zasiadki. Aby uwolnić się od prześladującej nas „złowonności", szybko oddalamy się od strumienia. Chcemy rozpalić ogień, posilić się i osuszyć przesiąknięte wilgocią okrycia. Schodząc z małego wzgórka, potykam się o wystający korzeń i, koziołkując, jak dobrze strzelony zając, lecę na łeb, na nos — i całym pędem uderzam plecami o kamienisty grunt, ku uciesze na młodszej latorośli rodu Pidcocków, „baby" Dicka.

Byłby mnie może rozgniewał ten bezmyślny, rżący odgłos jego krtani i płuc, gdyby nie radość z potoków słonecznych promieni, które oświetlały tak żywo, tak jaskrawo kotlinę, do której zbliżałem się. Jakże rozweselająco działa, jak zachęca do życia i pobudza energję największego nawet pesymisty i mizantropa snop skośnych, życiodajnych strzał niebieskich, cudownem ciepłem muskających twarz.

— Stop, Dick — siadamy! Rozpalimy ogień i rozgrzejemy zawartość naszych blaszanych *„pork and beans"*.

Nurzam się w słońcu, zalewającem polanę, którą unoszący się ku górze dym z ogniska znaczy lekkim, niebieskawym wykrzyknikiem. Piękny jest rdzawozielony cedrowy las i dobrze tu. Rozkoszuję się perspektywą kilku godzin absolutnego odprężenia i nadzieją, że prędko wciągnę na rozbity grzbiet wysuszone ubranie. Ogarnia mnie prymitywna radość z pełnego, sytego brzucha, z ciepła, spokoju, ciszy i beztroski.

Dick ma niewielkie zainteresowanie myśliwskie. Owszem — jeleń, bezpośrednio przed rykowiskiem, interesuje go, gdyż jest tłusty i doskonale utuczony. Ale główną jego pasją, widocznie po dziadku odziedziczoną, jest złoto i miedź. Oho — tu na wyspie, aby tylko dobrze poszukać, znajdzie się jedno i drugie. Gdyby mu czas pozwolił, dobrałby się do tych

kruszców. Tylko, że go dziadek w garści trzyma. Niepamięta wół...

Nieciekawa rozmowa zaśmieca mi mózg. Wolę palić, drzemać, rozmyślać i słuchać odgłosów boru. Na godzinę przed zmierzchem jestem znów na posterunku. Tym razem zbliżam się tak ostrożnie i cicho, że już nie płoszę ptactwa, które zbitą masą obsiadło brzegi i sterczące z wody kamienie. Pełnią swoją funkcję sanitarną, żarłocznie niszcząc cuchnące ryby. Wrzasku przytem co niemiara. W pewnym momencie rozgwar ten wyskakuje gwałtownym dysonansem i stado kaczek wznosi się trzepotliwie ku górze. Kiedy następuje chwilowe uspokojenie, zdaje mi się, że jakbym słyszał człapanie brodzącego smakosza. A może to imaginacja? Ale nie, wyraźnie słyszałem człapanie. No i ten nagły zryw ptactwa przemawia za tem. Jest już jednak ciemno i mimo wysiłków nic dojrzeć nie mogę.

Ciemną nocą wracam do obozowiska i, rozluźniwszy rzemyki ubrania, układam się do snu. Sen jednak nie przychodzi i powiek nie skleja. Jakieś dziwne, jakieś niesamowite majaki mnie prześladują. Leżę jakby w odrętwieniu, wpatruję się w zamierające, pryskające skrami ognisko, napróżno usiłując zasnąć. I śpiwór dziś jakiś niewygodny, wierzch jego pokryty jest lepką wilgocią, i Dick zgrzyta zębami, mamrocząc przez sen. Wiercę się, przewracam z boku na bok, usnąć nie mogę. Decyduję się już nawet wstać, ożywić i rozpłomienić ognisko, aby spędzić przy niem noc, czuwając, obawiam się jednak, że dym, rzucony błąkającym się wiatrem w nieodpowiednim kierunku, może mi popsuć poranne czaty. Nieprzyjemnie ta noc przechodzi.

Jestem niby zdrów, nic mi nie dolega, a jednak wszystko mi przeszkadza, wszystko jest twarde, nieprzytulne i tak jakoś dziwnie nieprzyjemnie mokre. To prawdopodobnie mgły, które szaremi płachtami otulają las, taki wpływ wywierają. I może po raz pierwszy tej długiej nocy zacząłem tęsknić za wygodami, jakie daje suche, ciepłe, bielą płótna zasłane łóżko. Nerwy!...

Z czeluści plecaka wydostaję rum, ciągnę łyk za łykiem i czuję, jak powoli przyjemne prądy pachnącego napoju żywiej pobudzają krew do krążenia. Na wpół drzemiąc, doczekałem się poranka. Znów siedzę na czatach. I tym razem jestem sam. Poleciłem Dickowi, aby w odległości jakiejś pół mili zajął sąsiednie stanowisko.

Wstaje cichy jesienny ranek. Hen, wysoko, na tle szarego nieba waży się na szeroko rozpostartych skrzydłach orzeł. Czarny kruk, objedzony, wolno, leniwie, od niechcenia rzucając skrzydłami, ślizga się w przestworzu, burkocząc zadowolone: krou... krou... Przeleciał jeden i drugi. Cisza...

Na załamku skalnym, tuż obok ruczaju, wpadającego kaskadą do strumienia, ukazuje się trójkątny, szpiczasty łeb i cofa się. Po chwili wysuwa się cokolwiek więcej i widzę, jak niedźwiedź, przestępując przedniemi łapami, zatacza łbem ruchem wahadłowym, ciągnie nosem w prawo i w lewo, łapiąc wiatr. Nic podejrzanego...

Na piersiach mam zawieszony aparat fotograficzny ze sterczącą rurką teleobjektywu, obok pod ręką sztucer i lornetkę. Poprzednio już postanowiłem, że raczej do strzału nie dojdę, niżbym miał przepuścić jedyną okazję obserwowania misia przy rannej przekąsce. Po chwili niedźwiedź znów się skrywa. Słyszę łomot skrzydeł — to stado rozgniewanych kaczek podrywa się.

Przytknąwszy Zeissa do oczu, spostrzegam ciemną bryłę, która, wolno człapiąc, posuwa się w dół strumienia, odalając się ode mnie. Nic nie rozumiem. Nie wiem, czy to jest ten sam, czy drugi, brat jego „czarny". Zagadkę rozwiązuje moment, gdy o dwa, trzy yardy niżej, niż poprzednio, na wysuniętej platformie skalnej zobaczyłem znów „blacky". Aha, były więc dwa niedźwiedzie! Jeden poczłapał w dół strumienia, drugi stał teraz cały odkryty, mając tylko tył nieznacznie zasłonięty wystającym kamieniem.

Robię szybko kilka zdjęć. Zachowując całkowitą ostrożność, wolno opuszczam aparat na piersi i biorę lornetkę. Nagle, jakby piorun trzasł! Niedźwiedź, zwinąwszy się jak fryga, znikł za załamkiem. Znów nic nie rozumiem. Siedzę zupełnie oszołomiony i zgłupiały. Wtem słyszę sapanie i lekki trzask gałęzi. Cierpnę! Gorączkowo chwytam za sztucer, wpijam wzrok w gąszcz, aby zobaczyć — o krrryminał! — jak Dick, wymachując rękami, daje mi jakieś znaki.

Dureń, straszliwy dureń! Przyszedł mi zameldować, że przy jego schronie niedźwiedź śniada.

Ech, ośle kanadyjski, cóżeś narobił!? Kiedy znów będę miał okazję takiego widoku. Wyraźnie kundlowi tłomaczyłem: siedź, stworo, kamieniem, czekaj, aż sam do ciebie przyjdę. Przepadło!



Na wysuniętej platformie skalnej zobaczyłem „blacky".

Rozwścieczony w najwyższym stopniu, klnąc, jak marynarz floty czarnomorskiej, wycofuję się z zasadzki, wracam do obozowiska i odsyłam Dicka na łono dziadka. Postanawiam jeszcze trzecią, a nawet czwartą noc spędzić w lesie.

Zawstydzony Dick, gęsto się tłomaczył — i wierzę mu. Ten cymbał chciał napewno jak najlepiej! Prosi mnie, abym mu pozwolił pójść na farmę, dopełnić zapasów i wrócić do mnie wieczorem. Obiecuje, że teraz będzie wszystko o key! Żebym go tylko przed dziadkiem nie zdradził, bo rzeczywiście postąpił, jak miejski ciarach, jak niedoświadczony łyk. W miarę, jak znika z kociołka gorąca *pea soup* (grochówka) z boczkiem, humor mój poprawia się nieco. Zaczynam sobie tłomaczyć, że ostatecznie nie jest znowu tak źle. Zupa jest smakowita, kawałki boczku tają w ustach. Zdaje mi się, ba — pewny jestem, że zdjęcia moje są udane, no więc niema tragedji. Przyszedł miś raz, przyjdzie drugi i trzeci, a dzień powstał tak piękny, tak rozsłoneczniony, w puszczy jest tak spokojnie i błogo, że trudno jest nie poddać się czarowi tej chwili. Pierwotny instynkt zatryumfował. Znów pełny brzuch poprawił samopoczucie, rozcieńczył kwasy.

Kiedy wieczorem obładowany Dick wrócił, i ja byłem już z powrotem, z czatów. Okazało się, że jednak miś łatwiejszy jest do obserwacji rano, niż

pod wieczór, kiedy wcześnie zapadająca ciemność kryje w mrokach niedźwiedzie biesiady.

Niepisany mi był czarny niedźwiedź z Brytyjskiej Kolumbji. Albo mgła poranna, albo Dick-gapa, a przedewszystkiem przypadek — fatum. Minęła widocznie moja dobra passa. I dziś, wspominając te chwile, nie wiem, czy mam siebie uważać za niedołęgę, czy też zwalić wszystko na prześladujący mnie pech.

Pierwszego ranka, kiedy, potknąwszy się, upadłem, wygiąłem cokolwiek wizjer mego Mauzera. Nie zwróciłem na to wówczas uwagi, wolałem bowiem rozcierać zbite plecy. Obecnie, kiedy, siedząc czwartego dnia na czatach, syciłem się widokiem czarnego gubernatora wyspy, smakującego w beztrosce rybę i, mając go całkowicie odkrytego na 60—70 yardów przed sobą, pewny skutecznego strzału, spokojnie zmierzywszy, pociągnąłem za spust — niedźwiedź, nie zmieniając ani na sekundę swej pozycji, ledwie raczył łeb odwrócić i z westchnieniem wciągnąć wiatr w kufę.

Przyznam się, że po kalibrze 9,3 x 62 oczekiwałem innego efektu. Nie widząc go — rzuciłem drugi strzał, mierząc w nasadę szyi. Miś, jakby teraz dopiero zrozumiał, ocknął się wreszcie, ale jeszcze niepewny, wolno, krótkim galopem ruszył w górę, obejrzał się i, nie zmieniając tempa, tym samym alurem pocwałował.

Pudło, ej — chyba nie! Zaraz się powali. Tylko patrzeć, jak czarnym, kosmatym kłębem potoczy się w dół i rozpłaszczy. Spokojnie repetuję jeszcze dwa razy i dwa razy strzelam za sięgającym już gąszczu zwierzem. O, święta ziemio! Czemużeś się nie rozwarła i nie pochłonęła mnie ze sztucerem, z plecakiem, ze wszystkiem. O, wstydzie, piekący wstydzie! I ten Dick, który ukazał się na dźwięk mego głosu, aby mi pomódz ściągnąć skórę z niedźwiedzia, który uszedł, ciesząc się najlepszym zdrowiem...

Szukałem śladów posoki. Przedzierałem się za tropami przez gąszcz. Pudło, pudło! Chybiłem najoczywiściej. Chybiłem sromotnie!

Kiedy w dwa dni później ustawiłem w zagrodzie Pidcocka tarczę o pięćdziesiąt metrów i, próbując sztucer, kilkakrotnie strzeliłem, okazało się, że, na skutek zgiętego wizjera, kula na tej skromnej odległości wykazywała blisko metrowe odchylenie. Gdybym się był mniej interesował obolałym grzbietem moim, a przynajmniej raz dokładnie obejrzał po upadku sztucer, który przecież oliwiłem każdego wieczora, ale trudno — wierzę w przeznaczenie! Widocznie kredyt życiowego konta „blacky" nie był jeszcze wyczerpany. Jakże to bowiem inaczej tłomaczyć?...

Grizzly z gór Cariboo, który dwa miesiące temu układał się do snu, zjawił się jakby na umówione spotkanie — a czarny brzuchacz, jego kuzyn, kilkakrotnie spotykany, a nawet fotografowany, uszedł, chybiony.

Good luck — „blacky"! Niech ci się dobrze wiedzie. Tyj i rozmnażaj się. Ja ciebie tu więcej niepokoić nie będę.

— — — — — — — —

Marzą mi się już tymczasem zbocza Alaskajskiego masywu Mc. Kinley.

M. G.

STRZELEC ROMAN SOBOTA.

(Dokończenie)

Widok tej cichej zagrody, wzorowy porządek, panujący w gospodarstwie i zgodne pożycie mieszkającej tam rodziny potęgowało to uczucie. Mimowoli zadawałem sobie pytanie, czego właściwie brakuje temu człowiekowi do szczęścia; przecież otrzymuje tak pokaźne wynagrodzenie. Tak, ale wymagania ludzkie są tak różne. Jakiegoż wynagrodzenia oczekujesz, zdradziecki służalcze, za twe niecne postępki? Czyż ci sprawia tak wielką przyjemność łyk wódki, wypity w towarzystwie kłusowników u żyda, który nielegalnie utrzymuje karczmę? A może wioskowi dygnitarze prowadzą poręby na działce innego gajowego za to, że pozwoliłeś im trudnić się kłusownictwem? To ostatnie przypuszczenie oparte było na wypadkach, które już miały miejsce. Gajowy B. miał obowiązek ochrony lasu i spełniał to doskonale. Cieszył się dobrą opinją u swej naczelnej władzy, pana nadleśniczego X., a więc skąd to podejrzenie? Te rozmyślania przerwał mi Sobota, który, pokazując biegnącą dziewczynkę i uśmiechając się, powoli zauważył:

— Tak, wszystko jest w porządku; sztafeta już poszła. Trzeba teraz udać się prędko do lasu i rozstawić wartę w krzakach, otaczających wieś.

Już zmierzch zapadał, gdy doszliśmy do straży. Chłód zbliżającej się jesiennej nocy dawał się bardzo odczuwać — była cisza kompletna — wiatr zamarł. Na jasnem niebie ukazały się gwiazdy i z za wierzchołków drzew wypływał majestatycznie księżyc. Tę bajeczną ciszę przerywały niekiedy nawoływania nocnych ptaków. Zdala dawał się słyszeć ryk jelenia. Ludzie pojedyńczo, lub małemi grupkami, przechodzili graniczną linję. Każda grupka ludzi zajmowała wyznaczone stanowisko coprawda z wielkiemi ostrożnościami i dalekiemi obchodami, jak to było wcześniej umówione. Tę czynność trudno było wykonać z powodu niedawnych, obfitych deszczów, które tę błotnistą miejscowość zamieniły w jednolite jezioro. Wielu z moich ludzi pełniło wartę w te chłodne jesienne noce, stojąc prawie w wodzie. Przy sobie zatrzymałem 4-ch ludzi. Po dwugodzinnem chodzeniu po wodzie i kępach, często zbaczając z należytego kierunku, oblewając się potem, mokrzy po pas i zupełnie wyczerpani, nareszcie doszliśmy do naszego punktu na suchą polankę, porośniętą jałowcem i karłowatemi sosnami. Pomiędzy nami i wsią, leżącą o pół kilometra, znajdowała się łąka, porośnięta kępami i błotną trawą, i służąca na wypas dla bydła; za nami w niezmierzonej dali ciągnęły się błota z olchowemi krzakami. Po chwilowym wypoczynku zaczęliśmy ściągać buty i wylewać z nich wodę, wyżymać zmoknięte spodnie. Nocny chłód jesienny dawał się porządnie we znaki, tembardziej, że nie można było rozpalić ognia, żeby nie spłoszyć zwierza, na którego polowaliśmy. Każdy z zebranych pokolei stawał na warcie, a inni przez ten czas starali się rozgrzewać bieganiem i innemi ćwiczeniami. W duszy każdy z nas przeklinał tę nieszczęsną wyprawę i kłusowników, którzyby w tym momencie wpadł w nasze ręce, byłoby pewno gorąco.

Była już godzina 10-ta wieczorem. Zwykle o tej porze wieś pogrążona jest w głębokim śnie i w oknach chat światła nie widać było nigdzie. Dzisiaj działo się zupełnie przeciwnie. Wśród nocnej ciszy do uszu naszych dochodził pośpieszny szmer. Okna wielu chat były jeszcze oświetlone. Wśród budynków podwórzowych kręcili się ludzie, tu i owdzie migało światło, dawały się słyszeć uderzenia toporów, odgłosy wyłamywania podłóg i dziwne, przeciągłe dźwięki, jakby przy wyciąganiu długich, zardzewiałych gwoździ z desek. Jednem słowem we wsi panował ruch nadzwyczajny. Oblicze mego wiernego Soboty coraz bardziej jaśniało; nie chciał porzucić swego stanowiska, zajęty nieustannem obserwowaniem.

Minęło jeszcze conajmniej dwie godziny, we wsi stopniowo hałas ucichał i zamierały dźwięki. Od czasu do czasu słychać było jeszcze zatrzaskiwanie drzwi, powoli ognie i latarnie znikały, aż wreszcie zapanowała cisza.

Nagle z drzemki pod krzakiem jałowca zbudził mnie krzyk sowy, nadlatujący z obserwacyjnego punktu. To był umówiony, zwykły sygnał i oznaczał: „baczność". Ludzie zakrzątnęli się i zaczęli uważnie nasłuchiwać. Warta pokazała w kierunku wsi. Nic nie było widać, nie bacząc na to, że wytężałem wzrok, jak mogłem. Lecz co to takiego? Cichy plusk wody dał się słyszeć i coraz się zbliżał. Aż oto dwie ciemne plamy zarysowały się wyraźnie i posuwały się wprost ku nam. Słyszę dokładnie, jak tłucze się moje serce i jak mój przewodnik głośno i śpiesznie oddycha. O 50 kroków od nas ujrzeliśmy dwóch chłopów, z których jeden trzymał w obu rękach strzelby, a drugi miał zarzucony przez plecy ciężki worek. Pozwoliliśmy im przejść kilka kroków naprzód, a wtedy moi ludzie schwycili ich za gardła, zakneblowali usta, związali i rzucili na mech. Nasi jeńcy byli tak oszołomieni i przestraszeni, że pozwolili robić ze sobą, co nam się tylko podobało. Rzecz prosta, że nie obeszło się bez szturchańców, a nawet uderzeń kolbą, aż w końcu odciągnięto ich w krzaki i zostawiono pod dozorem jednego strażnika. W jednej chwili znikło uczucie zimna i tylko płuca pracowały szybciej, a nawet pot występował na czoło. Zauważyłem tylko uśmiech tryumfu na twarzy Soboty, gdy wracał znów do swego punktu obserwacyjnego. Widocznie to miejsce było doskonale wybrane, gdyż po pięciu minutach znów udało się schwytać i oszołomić jeszcze dwóch takich kłusowników.

Już do końca nocy nie zaszło nic nowego. Tylko jeden raz wśród nocnej ciszy rozległ się przytłumiony okrzyk i wymyślanie w kierunku następnej warty, tam też widocznie robota szła na dobre. Na wschodzie ukazały się pierwsze zwiastuny zbliżającego się dnia. Księżyc już dawno zaszedł. Trudno było liczyć na nową zdobycz, więc odpoczywaliśmy z przyjemnością. Wkrótce wesoło paliły się ogniska i u nas, i na innych placówkach. Przekonaliśmy się teraz, że wieś otoczona była bardzo umiejętnie.

Gdy słońce wzeszło, kazałem zatrąbić do odwrotu. Na wpół odrętwiali z zimna, nasi jeńcy zostali uwolnieni od więzów i dopuszczeni również do ogniska; wkrótce wraz ze strażnikami zaczęli suszyć przy ogniu mokrą odzież. Wiele żartów i drwin musieli wysłuchać awanturnicy, gdy wyciągali swe odrętwiałe członki. Sobota wysilał się na różne pytania i wywoływał dokoła homeryczny śmiech. Gdy wszyscy się rozgrzali, nasi jeńcy zostali obładowani zagarniętemi przez nas łupami i udaliśmy się w powrotną drogę.

Było widno i mogliśmy spokojnie, skacząc z kępy na kępę, wymijając głębokie miejsca i nie zaczerpując wody w cholewy, dosięgnąć suchej polanki w pobliżu wsi. Tam powinny były się zebrać i inne placówki; po drodze spotkaliśmy jedną z nich i zauważyliśmy, że była obładowana bogatym łupem. Po godzinie pieszej drogi złączyliśmy się z resztą, poczem z przyjemnością stwierdziłem, że prawie wszystkie patrole cieszyły się bogatą zdobyczą. Wszyscy jeńcy byli otoczeni przez strzelców i strażników i udali się ku wsi, zmierzając do domu gajowego B., który oczekiwał nas koło domu z ludźmi, wezwanymi do improwizowanego polowania.

Sytuacja odrazu wyjaśniła się. Gajowy B., który mimowoli stał się narzędziem do osiągnięcia takiego sukcesu, wpadł we własne sidła i był widocznie przygnębiony, co było jeszcze bardziej wyraźnem, gdy kiwnąłem mu głową, dziękując za tak prawdziwą przysługę. Pozostało teraz tylko obliczyć zdobyte „trofea". Każdy jeniec musiał starannie rozłożyć przed sobą przyniesione skarby. I oto co się okazało: 3 strzelby, różna amunicja, skóry różnego zwierza, mięso świeże i solone, rogi, a głównie rogi żubrów, co wywołało wśród nas ogólne oburzenie. Rejestr wszystkiego co znaleziono i spisanie aktu tego całego zdarzenia powierzyłem policji, a sam udałem się na śniadanie.



Dublet kpt. Sl. Drewnowskiego na polowaniu wigilijnem 1936 r. Kółka Łowieckiego Garnizonu K. O. P. „Podświle". Bacior długości 2,25 m., wagi 81 kg.; wadera długości 2,05 m., wagi 65 kg.

Żeby wykorzenić raz na zawsze kłusownictwo w tej części puszczy, trzeba było koniecznie znaleźć i resztę broni, i ukarać doraźnie wszystkich członków bandy. Żelazo kuje się póki gorące. Przywołałem do siebie strzelca Sobotę i jednego ze sprytniejszych policjantów na naradę, co mamy czynić dalej. Postanowiłem wreszcie przywołać wszystkich jeńców i przy pomocy Soboty i jednego z policjantów zadałem im szereg pytań. Jak to zwykle bywa, z początku wszyscy bezczelnie kłamali i przeczyli, ale wkońcu zatwardziali grzesznicy zdecydowali się oddać schowane w lesie strzelby. Dałem Sobocie liczny oddział straży i po kilku godzinach dostarczono jeszcze trzy strzelby i amunicję, a miejsca, w których to było przechowane, zostały dokładnie obejrzane. Po skończeniu protokółu o całem zdarzeniu, zwolniłem wszystkich podwładnych, a także przestępców. W tym czasie przysłano mi konie, poczem, bardzo zadowolony z rezultatu całej wyprawy, odjechałem do domu. Wyprawa ta miała wielkie znaczenie dla bezpieczeństwa zwierzyny i spokoju tej części puszczy.

Sobota był zaszczycony wielką piśmienną pochwałą za starania i wkrótce otrzymał ku swej wielkiej radości złoty medal za wierną służbę. Zdrajca, gajowy B., także był oceniony według zasług i ukarany w dotkliwy sposób. Banda kłusowników, można śmiało rzec, została zlikwidowana, gdyż bardziej przestępni byli zesłani do oddalonych miejscowości, np. Archangielska, a reszta surowo ukarana przez władze sądowe i administracyjne.

Może zbyt długo trzymałem w napięciu uwagę Szanownych Czytelników, ale pragnąłem przedstawić te wielkie i szczególne trudności, wśród których zwierzyna była ochraniana w puszczy.

Nietylko w tym wypadku, ale i w różnych innych okolicznościach zawsze odgrywają główną rolę: wytrwałość, małe wymagania i przyrodzone zdolności straży łowieckiej, jak również całego niższego personelu służby, rekrutującej się przeważnie z miejscowej ludności.

E. BARK

OKÓLNIK PANA MINISTRA SPRAW WEWNĘTRZNYCH W SPRAWIE PODATKU KOMUNALNEGO OD WYKONYWANIA PRAWA POLOWANIA.

W Dzienniku Urzędowym Ministerstwa Spraw Wewnętrznych Nr. 35 z dnia 10 grudnia r. 1936, poz. 245 ukazał się okólnik Pana Ministra S. W. Nr. 90 z dnia 9 grudnia r. 1936 „o gospodarce finansowo-budżetowej i ustaleniu preliminarzy budżetowych związków samorządowych na r. 1937/38", skierowany do Panów Wojewodów (z wyjątkiem śląskiego), Starostów Krajowych w Poznaniu i Toruniu, Przewodniczących Wydziałów Powiatowych i Prezydentów miast.

W okólniku tym, między innemi, w punkcie 23 powiedziano:

„23. Maksymalne normy podatku komunalnego od prawa polowania, zamieszczone w § 94 rozporządzenia Ministra Spraw Wewnętrznych z dnia 23 listopada 1932 r. (Dz. U. R. P. Nr. 113, poz. 937), ustalone zostały przed 12 laty (rozporządzeniem Min. Spraw Wewn. z dnia 4.VIII.1924 r. Dz. U. R. P. Nr. 78, poz. 759), gdy czynsze za dzierżawę terenów łowieckich, wartość tych terenów i ceny zwierzyny łownej były znacznie wyższe, niż obecnie.

Omawiane normy podatku od prawa polowania nie odpowiadają zatem obecnym warunkom ekonomicznym i nadal nie powinny być w całości wykorzystywane. Z tych względów wskazanym jest, by wydziały powiatowe, bądź przy zatwierdzaniu nowych statutów podatku komunalnego od prawa polowania, bądź przy sposobności zatwierdzania budżetów, zastrzegały obniżenie stawek wymienionego podatku do takiego poziomu, aby podatek ten nie przekraczał w strefie I — 10 gr. na ha, w strefie II — 5 gr. na ha i w strefie III — 2 gr. na ha oraz w strefie IV — dotychczasowej stawki 1/8 gr. na ha".

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO.

MEMORJAŁ ZWIĄZKU W SPRAWIE FUNDUSZU OCHRONY ŁOWIECTWA.

DO
PANA MINISTRA ROLNICTWA I REFORM ROLNYCH.

DO
PANA MINISTRA SKARBU.

Nowy statut Polskiego Związku Łowieckiego, zatwierdzony przez Władze Państwowe w grudniu roku ub., stwarza podstawy do przekształcenia form ustrojowych łowiectwa polskiego w kierunku, odpowiadającym znaczeniu gospodarczemu i propagandowemu łowiectwa w Polsce.

O wadze łowiectwa w życiu gospodarczem świadczy np. cyfra 30.000.000 RM., jaką stanowi wartość ubitej w r. 1935 na terenie Rzeszy Niemieckiej zwierzyny, oraz kwota 140.000.000 RM., obliczona jako wydatek 260.000 myśliwych w Niemczech na cele, związane z uprawianiem myślistwa (W. Bieger „Die Deutsche Jagdwirtschaft"). Odpowiednie obliczenia przeprowadzone w Polsce dla roku 1933-34 („Łowiec Polski" Nr. 36 z r. 1934) dają kwoty: 13,3 miliona złotych jako wartość ubitej zwierzyny i zdobytych skór, oraz 38,4 miljona złotych jako coroczny wpływ od 50.000 myśliwych polskich do kas skarbowych, samorządowych i kolejowych, do sklepów z bronią i amunicją, do rąk służby łowieckiej, naganiaczy, woźniców i t. p. Znaczenie zaś łowiectwa polskiego, jako czynnika atrakcyjnego, jest już dziś należycie doceniane przez organy, powołane do propagandy Polski zagranicą, i jest wykorzystywane przez nie dla celów ożywienia turystyki międzynarodowej.

Należyte wypełnienie nowych, znacznie rozszerzonych zadań, które wkłada na zrzeszone łowiectwo polskie nowy statut, przewidujący, między innemi, współpracę z zagranicznemi związkami myśliwskiemi, rozwój handlu zwierzyną, popieranie hodowli zwierzyny krajowej i aklimatyzację nowej, walkę z chorobami zakaźnemi, szkolenie personelu łowieckiego, organizowanie zjazdów i pokazów krajowych oraz udział w międzynarodowych wystawach łowieckich, wydawanie własnego organu oraz popieranie prasy i piśmiennictwa łowieckiego i t d. — wymaga jednak środków pieniężnych, które nie mogą być pokryte ze skromnych opłat członkowskich (5 i 10 zł. rocznie).

Jeżeli sięgniemy znowu do wzorów zagranicznych, to według ustawy łowieckiej Rzeszy z dnia 3 lipca 1934 r. — dwie piąte opłat za karty łowieckie idą na rzecz związku „Deutsche Jägerschaft", co przy średniej opłacie za kartę 15 RM. i liczbie 260.000 myśliwych — daje na rzecz związku około 1,6 miljona RM. rocznie.

Wprowadzone u nas rozporządzeniem Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 3 grudnia 1927 r. prawo ło-

wieckie ustaliło opłatę za karty łowieckie w kwocie zł. 10,—, które to opłaty, w myśl art. 34 rozporządzenia, miały wpływać ustawowo na dochód Ministerstwa Rolnictwa, ale w rzeczywistości przekazywane zostały w całości do Skarbu Państwa. Z tego źródła wpłynęło do Skarbu: w r. 1934/35 446.000,— zł., w r. 1935/36 — 372.000,— zł.

Otóż te właśnie wpływy od myśliwych powinny być i u nas źródłem, zasilającem fundusz, poświęcony celom popierania łowiectwa. Mamy zresztą przykład tego w ustawie o rybołóstwie z r. 1932, której art. 79 przewiduje utworzenie „Funduszu Ochrony Rybołówstwa", na który składają się wpływy ze świadczeń obwodów rybackich (15% od czynszu dzierżawnego) i ze składek, uiszczanych przy otrzymywaniu osobistych dowodów rybackich (100% opłat za karty rybackie i wędkarskie). Z tego funduszu Rybacki Związek Ochronny otrzymuje rocznie około 200.000.— zł. zasiłku.

Powołując się na przytoczone przykłady, Polski Związek Łowiecki pozwala sobie zwrócić się do Pana Ministra z prośbą, aby, w uwzględnieniu nowych obowiązków Związku w kierunku podniesienia łowiectwa w Polsce, zechciał wyrazić zgodę na utworzenie z wpływów za karty łowieckie osobnego „Funduszu Ochrony Łowiectwa", pozostającego, stosownie do art. 34 rozporządzenia Prezydenta R. P. z 1927 r., w dyspozycji Ministerstwa Rolnictwa. Z tego funduszu na rzecz Polskiego Związku Łowieckiego przyznana byłaby na cele ochrony łowiectwa stała dotacja w wysokości 25% wpływów rocznych.

Prezes
w/z (—) Inż. Leopold Skulski.

PROTOKÓŁ POSIEDZENIA WYDZIAŁU WYKONAWCZEGO Z DNIA 14 STYCZNIA R. 1937.

Przewodniczył obradom p. prof. Józef Gieysztor obecni byli pp.: Maurycy hr. Potocki, red. Walenty Garczyński, Bohdan Gędziorowski, Kazimierz Kamieński, Czesław Lisowski, Józef Skrzypek, Wacław Szperling, Andrzej Śliwiński, inż. Kazimierz Tołłoczko, dr. Ignacy Grymiński; protokół prowadził Jerzy Bokiewicz.

Porządek dzienny był następujący:

1. Odczytanie protokółu posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 23 grudnia r. 1936
2. Sprawa Wojewódzkich Rad Łowieckich oraz Łowczych Powiatowych w województwach: kieleckiem, lubelskiem, łódzkiem i poleskiem.
3. Memorjał w sprawie funduszu na cele łowiectwa.
4. Memorjał w sprawie dzierżaw polowania w lasach państwowych
5. Sprawy bieżące.
6. Wnioski.

Protokół posiedzenia Wydziału Wykonawczego z dnia 23 grudnia r. ub. zatwierdzono bez zmian.

P. prof. Gieysztor omówił wykonanie uchwał, powziętych na poprzedniem posiedzeniu, nadmieniając, że w sprawie reorganizacji Związku, po za pismami do Oddziałów i Stowarzyszeń Związkowych, rozesłany został okólnik do Delegatów Powiatowych w województwach nie objętych działalnością Oddziałów; okólnik ten zawiera apel, aby Delegaci Związku, stający się w myśl nowego statutu Podłowczymi Powiatowymi, podjęli akcję, zmierzającą do powiększenia liczby członków Związku; do okólnika dołączono egzemplarze statutu oraz deklaracje członkowskie, z poleceniem przesyłania wypełnionych deklaracyj wraz z opłatą składek członkowskich bezpośrednio Związkowi.

Obecnie należy przystąpić do jak najrychlejszego utworzenia w województwach kieleckiem, lubelskiem, łódzkiem i poleskiem Komisarycznych Wojewódzkich Rad Łowieckich, które przyjmować będą członków zwyczajnych oraz zamianują Łowczych Powiatowych, uprawnionych statutowo do przyjmowania — w zastępstwie Powiatowych Rad Łowieckich — członków nadzwyczajnych.

Postanowiono, że legitymacje dla członków zwyczajnych i nadzwyczajnych, ostemplowane pieczęcią Związku, rozesłane zostaną Oddziałom Związku z poleceniem zaprowadzenia ścisłej ewidencji członków.

Upoważniono p. p. prof. Gieysztora i hr. Potockiego do ustalenia, w porozumieniu z p. Wiceprezesem Skulskim, wzoru odznaki członkowskiej i pieczęci Związku.

Wydział Wykonawczy zatwierdził opracowany przez p. prof. Gieysztora projekt memorjału do P. P. Ministrów Rolnictwa i Reform Rolnych oraz Skarbu z wnioskiem o utworzenie „Funduszu Ochrony Łowiectwa" z opłat, wpływających za karty łowieckie; zgodnie z art. 34 prawa łowieckiego opłaty te wpływać winny na dochód Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych.

Dyrekcja Naczelna Lasów Państwowych ustaliła i rozesłała wszystkim Dyrekcjom, jako obowiązujący, nowy wzór umowy o dzierżawie polowania w łowiskach państwowych. We wzorze tym zamieszczono szereg punktów, niemożliwych do przyjęcia dla dzierżawców. Referując tę sprawę p. red. Garczyński stwierdził, że Związek wystąpił do Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych pismem z dnia 31 października r. 1935, wskazując na konieczność poddania sprawy dzierżawy polowań w łowiskach państwowych gruntownemu rozważeniu, przyczem Związek wyraził ze swej strony gotowość ścisłej współpracy swych przedstawicieli. Na pismo to Związek odpowiedzi nie otrzymał. Obecnie p. red. Garczyński uważa za konieczne złożenie Dyrekcji Naczelnej L. P. szczegółowego memorjału, dotyczącego rozesłanego wzoru umowy.

Wydział Wykonawczy podzielił pogląd p. red. Garczyńskiego i projekt memorjału zatwierdził, postanawiając złożyć go Naczelnej Dyrekcji Lasów Państwowych.

Przyjęto do wiadomości orzeczenie Sądu Łowieckiego z dnia 16 grudnia r. ub. w sprawie: Dobiesław hr. Kwilecki contra ppłk. Konstanty Chłapowski.

Zgodnie z wnioskami Oddziałów Wojewódzkich, mianowani zostali Delegatami (Podłowczymi) Powiatowymi:

w województwie białostockiem —

Bohdanowski Zygmunt, mjr. — Wołkowysk — na powiat Wołkowysk;

w województwie nowogródzkiem —

Mirski ks. Bazyli — Lubcza n/Niemnem — na powiat Nowogródek.

Po trzykrotnem ogłoszeniu kandydatur w „Łowcu Polskim", mianowani zostali Delegatami (Podłowczymi) Powiatowymi:

w województwie kieleckiem —

Janiec Ignacy, inż. — Jędrzejów, Nadleśnictwo,
Medoń Władysław, nadl. — Wodzisław,
Różycki Jerzy — Jędrzejów, Opatkowice,
Wittowski Stefan — Sędziszów k/Jędrzejowa, Nadleśnictwo Krzelów — wszyscy na powiat Jędrzejów;

Dzianott Zygmunt, dr — Miechów, Giebułtów
i Kleszczyński Józef, inż. — Proszowice, Jakubowice — obydwaj na powiat Miechów;

Wielopolski hr. Zygmunt — Chroberz — na powiat Pińczów;

Radziwiłł ks. Artur — Rytwiany
i Skotnicki Maksymiljan — Sandomierz, Skotniki — obydwaj na powiat Sandomierz;

w województwie lubelskiem —

Ruciński Stefan, mgr. — Biłgoraj — na powiat Biłgoraj;

Durdełło Zenon, inż. — Garwolin, Miętne — na powiat Garwolin;

Obniski Marjan Hubert, inż. — Izbica n/Wieprzem, Tarnogóra — na powiat Krasnystaw;

w województwie pomorskiem —

Kłoczkowski Henryk, kmdr. ppor. — Gdynia 3, Dowództwo Floty — na powiat Morski;

Kurek Zygmunt, adw. — Kartuzy — na powiat Kartuzy;

w województwie warszawskiem —

Martewicz Stanisław — Łowicz, starostwo

i Stanio Władysław — Łowicz, gimnazjum — obydwaj na powiat łowicki;

Biernacki Jan — Ostrowy Warszawskie, Imielno — na powiat Kutno;

Płoski Aleksander — Golub, Sokołowo — na powiat Rypin;

Burczak Abramowicz Seweryn — Szymanów, Skotniki — na powiat Sochaczew.

Przyjęło i postanowiono ogłosić w „Łowcu Polskim" kandydatury na Delegatów (Podłowczych) Powiatowych:

w województwie kieleckiem —

Sawickiego Aleksandra — Opatów, Bogusławice — na powiat Opatów;

Dzierżyńskiego Tadeusza, mjr — Radom, Wytwórnia Broni — na powiat i m. Radom;

w województwie łódzkiem —

Dunina hr. Antoniego — Izbica Kuj., Bogusławice

Morsztyna hr. Rogera — Brudzew — obydwu na powiat Koło;

w województwie warszawskiem —

Michalskiego Leonarda, płk — Mińsk Maz., 7 pułk ułanów — na powiat Mińsk Mazowiecki;

Łebkowskiego Stanisława — Mława, Wyszyny — na powiat Mława.

Na pismo p. Józefa Przewłockiego (Bolimów — Brudzew, pow. kaliski łd) postanowiono odpowiedzieć, że Wydziałowi Wykonawczemu znane są wypadki, iż dzik nie strzelany — atakował człowieka.

Z DZIAŁALNOŚCI MIĘDZYNARODOWEJ RADY ŁOWIECKIEJ.

Ostatni komunikat biura Międzynarodowej Rady Łowieckiej z dnia 6 stycznia r. b. podaje następujące szczegóły z działalności Rady w r. ub.

Międzynarodowa Rada Łowiecka opracowała i przesłała władzom celnym wszystkich krajów europejskich projekt tryptyku na broń i amunicję, wzorowanego na tryptykach samochodowych, a mającego na celu ułatwienie przewozu broni myśliwskiej z jednego kraju do drugiego dla celów sportowych.

Na koszt Rady wysłana została do Afryki północnej (Tunis, Algier, Marokko) osobna komisja, mająca zbadać ścisłość wykonywania przepisów, wzbraniających polowania na przepiórki na wiosnę i łowienia ich w sieci. Komisja stwierdziła, iż naogół przepisy te są przestrzegane ze strony myśliwych tubylczych.

Rada zwróciła się do władz krajów, które dotąd nie ratyfikowały Konwencji Londyńskiej o ochronie zwierzyny łownej w Afryce, z prośbą o przystąpienie do Konwencji.

W maju 1936 r. odbyła się w Paryżu konferencja urzędowych przedstawicieli łowiectwa krajów, sąsiadujących z Francją, a więc: Niemiec, Belgji, Luksemburga i Szwajcarji, na której uzgodniono sposób postępowania w pasach nadgranicznych, w wypadkach rozbieżności przepisów łowieckich.

Komisja Wystawowa, wyłoniona na sesji M. R. Ł. w Warszawie w 1934 r., a mająca na celu ustalenie sposobu klasyfikowania trofeów myśliwskich, wyznaczyła posiedzenie na 24 maja r. b. w Pradze. Jako materjał obrad służyć będzie przygotowywany przez biuro Rady memorjał, zestawiający wnioski w sprawie klasyfikowania trofeów, nadesłane przez zainteresowanych członków Rady. Poza tem do użytku Komisji stanie bogaty zbiór trofeów — głównie cerwidów — zebrany przez władze czechosłowackie oraz specjalnie ciekawa kolekcja trofeów króla rumuńskiego.

Najbliższa sesja plenarna M. R. Ł., wyznaczona w Budapeszcie, odbędzie się, na prośbe rządu Rzeszy Niemieckiej i za zgodą rządu węgierskiego, w Berlinie, w listopadzie r. b., w związku z organizowaną tam Międzynarodową Wystawą Łowiecką.

Stanowisko Sekretarza Generalnego Rady, zajmowane dotąd przez hr. W. d'Adixa, objął z dn. 1. I. r b. p. René Charton.

J. G.

WYNIKI AKCJI TĘPIENIA KŁUSOWNICTWA W WOJ. LUBELSKIEM.

Pracując od roku 1918 w kierunku tępienia kłusownictwa i wnykarstwa w szeregu powiatów, interesuje mnie niezmiernie sprawa wyników pracy organów P. P. w tym kierunku.

Spotykam wprawdzie dane statystyczne z tego zakresu, obejmują one jednak nieliczne tylko powiaty i nie dają charakterystyki pracy policyjnej z całego obszaru państwa.

Podaję przeto dokładną statystykę z terenu województwa lubelskiego z podziałem na 18 poszczególnych powiatów, prosząc o podanie takiej statystyki z pozostałych województw.

		Wytoczono spraw o kłusownictwo	odebrano broni myśliwskiej
1)	pow. Janów Lubelski	74	96
2)	„ Lublin	79	75
3)	„ Garwolin	93	75
4)	„ Zamość	11	143
5)	„ Włodawa	75	73
6)	„ Puławy	67	65
7)	„ Chełm Lubelski	51	80
8)	„ Biłgoraj	71	36
9)	„ Hrubieszów	10	92
10)	„ Krasnystaw	46	55
11)	„ Węgrów	57	39
12)	„ Łuków	50	37
13)	„ Radzyń Podlaski	38	43
14)	„ Lubartów	20	57
15)	„ Sokołów Podlaski	44	22
16)	„ Tomaszów Lubelski	15	50
17)	„ Siedlce	25	33
18)	„ Biała Podlaska	30	15
	Razem	856	1086

Powyższe danet dotyczą okresu 1936 roku. Niewspółmiernie małao ilość wytoczonych spraw za kłusownictwo w stosunku do ilości odebranej broni tłomaczy się tem, że broń odbierano podczas masowych rewizyj w powiatach południowo-wschodnich województwa na skutek panoszącego się tam kłusownictwa i wnykarstwa. Na specjalne wyróżnienie zasługują pow. janowski, lubelski i garwoliński.

A. MAŃCZOWSKI
Komisarz P. P.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na rok 1937, I półrocze, I kwartał, lub na miesiąc luty.

Jednocześnie zmuszeni jesteśmy uprzedzić, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana. Administracja.

POTOCZNA TERMINOLOGIA ŁOWIECKA.

ŁOŚ (ALCES JUBATA).

Badylarz, łoś o tak silnie wykrojonych rogach, że nie mają wcale kształtu łopat, względnie kształt ten jest tylko słabo zaznaczony; przeciwieństwo łopaciarza.

Badyle, nogi.

Bobczyć, oddawać odchody

Bobki, odchody.

Bukować, zaspakajać popęd płciowy.

Bukowanie (ruja), zaspokajanie popędu płciowego

Bukowisko, miejsce obrane przez łosie, w którym odbywa się pokrycie klempy przez byka

Byk, dorosły samiec.

Chrapy, nozdrza.

Cielę, patrz — łoszę.

Cielić się, wydawać płód.

Farba, krew.

Grzęzy, sutki.

Klempa (łosza, krowa), łoś samica.

Krowa, patrz — klempa.

Legowisko, miejsce, gdzie łoś leżąc — odpoczywa.

Łopaciarz (łopatacz), łoś o rogach w kształcie łopat

Łopata, szeroka część rogów u łopaciarza.

Łopatacz, patrz — łopaciarz

Łosina, mięso łosia

Łosza, patrz — klempa.

Łoszak, patrz — łoszę.

Łoszę (cielę, łoszak), nowonarodzony łoś.

Łyżki, uszy.

Obielać, zdejmować skórę.

Ostoja, miejsce przebywania łosia.

Pasemko, odnoga na rogach łosia.

Patroszyć (trzebić), usuwać wnętrzności

Podciołek, patrz — szpiczak.

Połeć, bok.

Racica, kopyto rogowe

Rosochy, rogi łosia.

Ruja, patrz — bukowanie.

Rżenie, głos samca, wyzywającego rywala do walki.

Skrocz, specjalny chód, w którym łoś wysuwa naprzód jednocześnie prawą nogę przednią i prawą tylną, gdy obie lewe nogi pozostają zwrócone ku tyłowi.

Stękać. Stękanie — specyficzny głos łosia, wydawany podczas rui.

Suknia, skóra z włosami.

Sysak, cielę dopóki ssie matkę.

Szpiczak (śpiczak, podciołek), łoś, który ma rogi bez rozgałęzień, najczęściej młody łoś, w drugim roku.

Szpile, rogowe wyrostki z tyłu nóg, powyżej racic.

Śpiczak, patrz — szpiczak.

Trzebić, patrz — patroszyć.

Widlak, łoś o rozwidlonych rogach

Wytłoka, miejsce wydeptane przez łosie podczas zaspokajania popędu płciowego.

Żerować, szukać pożywienia, spożywać pokarm.

Żerowisko, miejsce, dokąd łoś idzie na poszukiwanie pokarmu.

JÓZEF WŁADYSŁAW KOBYLAŃSKI.

*

Podobnie, jak w poprzednim numerze „Łowca Polskiego" — przy zającu, podajemy terminologję łosia, jako rzecz dyskusyjną, prosząc o nadsyłanie uzupełnień lub sprostowań.

KOMISJA JĘZYKOWA



W OBRONIE „PTAKÓW ZIEM POLSKICH".

W Nr. 1 „Łowca Polskiego" z dnia 1 stycznia r. b. ukazała się recenzja książki Dra Jana Sokołowskiego, pióra p. Stanisława Zielińskiego. Właściwie pracy tej nie można nawet nazwać recenzją: jest to prędzej zestawienie dostrzeżonych braków i usterek, poza któremi p. Zieliński nic o krytykowanem dziele nie mówi.

Po przeczytaniu tej przesadnej i jednostronnej oceny — możnaby sądzić, że książka Dra Sokołowskiego nie przedstawia żadnej wartości, gdy tymczasem w rzeczywistości jest zupełnie inaczej. „Ptaki Ziem Polskich" są doskonałą pracą ornitologiczną, powitaną z prawdziwym entuzjazmem przez liczne rzesze czytelników, o czem miałem już możność przekonać się przed zakończeniem druku pierwszego tomu wspomnianej książki.

Bo trzeba zdać sobie sprawę z tego, dla kogo w pierwszym rzędzie jest przeznaczone dzieło o ptakach polskich. Dla garstki naszych wybitnych ornitologów, czy też dla całych setek i tysięcy leśników, ziemian, myśliwych i nauczycieli? Odpowiedź będzie łatwa. Uczeni tej miary, co prof. Domaniewski, prof. Mierzejewski, czy dr. Wodzicki nie potrzebują podobnego dzieła, gdyż sami potrafiliby je napisać. Zato wszyscy tamci przyrodnicy - amatorzy dosłownie zaczytują się opisami Dra Sokołowskiego, opisami wiernemi, branemi bezpośrednio z życia ptaków i z najnowszych dzieł pierwszorzędnych badaczy niemieckich, bez dotychczasowego powoływania się na Tyzenhauza, Kluka i innych przestarzałych autorów, których opisy często nie zawierają nawet 50 proc. prawdy.

Zajmując się od wielu lat badaniami ornitologicznemi i to nie w muzeach, lub gabinetach, ale właśnie na łonie przyrody, w dzikiej kniei — zdobyłem już w tej dziedzinie pewien zasób doświadczenia, dzięki któremu mogłem skontrolować opisy i obserwacje Dra Sokołowskiego, zawarte w „Ptakach Ziem Polskich". Z prawdziwą przyjemnością muszę stwierdzić, że tam, gdzie Autor ten opisuje znane mi ptaki, prawie zawsze spotykałem się z obserwacjami autentycznemi i nadzwyczaj sumiennemi, którym nic zarzucić nie potrafię i dlatego śmiało dziś występuję w Jego obronie.

Pewne usterki muszą być — jest to zupełnie zrozumiałe. Gdyby nawet wszyscy polscy uczeni napisali wspólne dzieło, i tak nie uniknęłoby ono zapewne jakichś braków — trudno więc winić o to jednostkę, a już pod żadnym pozorem nie wolno jej potępiać za takie drobiazgi — jakie cierpliwie „wyzbierał" p. Zieliński, który w dodatku sam nie jest bez winy.

Oto np. Sz. Krytyk każe potrzeszczowi (Emberiza calandra) zimować w całym b. zaborze rosyjskim, a więc zapewne i w Nowogródczyźnie, oraz Wileńszczyźnie. W ciągu siedemnastu lat obserwowałem tam ptaki, widywałem (i to rzadko!) potrzeszcze w lecie, w zimie ani razu Może widział je tam p. Zieliński, mnie się jednak to nie udało.

Drożdżik (Turdus musicus), zdaniem p. Zielińskiego, jest „trudny do podejścia, bojaźliwszy od innych drozdów". Jeżeli chodzi o okazy lęgnące się w Polsce — nie będę się spierał, bo z niemi nie miałem do czynienia. Do północnych jednak strzelam z floweru zimą na jarzębinach z odległości najwyżej piętnastu kroków i nieraz nawet parokrotnie do jednego stadka. Nie wiem więc doprawdy, jakie inne drozdy dają się tak blisko podejść. Szkoda, że p. Zieliński nie wymienił tych mniej ostrożnych gatunków.

Jeżeli chodzi o usterki, dotyczące klucza do określania gatunków, tak drobiazgowo zestawione przez Sz. Krytyka — to mojem zdaniem są one najmniej ważne. Bo przecie wie chyba p. Zieliński, że określenie ptaka, przy pomocy najlepszego na

wet klucza, jest rzeczą tak bardzo trudną, że może się o to pokusić jedynie wytrawny „spec". Żaden początkujący amator sztuki tej nie dokaże i dlatego mniej dokładne podanie cech rozpoznawczych wielkiej zbrodni nie stanowi, zwłaszcza, że kluczow w jęz. polskim i tak już posiadamy kilka. Tatrzańskiego pomurnika nikt z pewnością nie będzie rozpoznawał po sterowkach, ani słonki po oczach.

Uczonych systematyków posiadamy w Polsce aż za wielu, ale specjalistów — biologów bardzo niewielu. Powiedzmy szczerze: ilu naszych najwybitniejszych ornitologów widziało w przyrodzie gniazdo czyżyka (Chrysomitris spinus), czy brzęczki (Locustella luscimoides)? Co mogą oni powiedzieć o przenoszeniu przez ptaki jaj, lub piskląt, albo czy wszyscy oni wiedzą o tem, że brodziec samotny (Tringa ochropus) gnieździ się w starych gniazdach na drzewach? A te rzeczy są chyba ważniejsze dla nauki od sporów o kształt sterówek rodziny pełzaczy.

Dzieło Dra Sokołowskiego, traktujące najobszerniej dziedzinę biologji, dziedzinę najmniej w Polsce znaną i opisywaną dotychczas po macoszemu, z powtarzaniem błędów i nieścisłości dawnych autorów — zasługuje na jak najszerszą popularyzację. Świetne obserwacje Autora i mnóstwo doskonałych ilustracyj, oraz zdjęć fotograficznych z natury mówią same za siebie.

Krytyka p. Zielińskiego nie umniejszy wartości tej cennej pracy — wręcz przeciwnie: przyczyni się tylko do większego zainteresowania się ogółu omawianą książką *).

LEOPOLD PAC-POMARNACKI.

G h e o r g e N e d i c i, *Jagd in Rumänien*. Wydanie firmy Leykam w Grazu 1936; stron 104 z 8 rysunkami.

Autor, nadinspektor lasów państwowych w Rumunii i twórca muzeum łowieckiego w Bukareszcie, opisuje w 8 obrazkach swoje przeżycia myśliwskie na obszarze tak urozmaiconych topograficznie i klimatycznie terenów łowieckich Rumunii. Mamy więc opis zdobycia „najlepszego" poroża kozła na tle wiosennie rozśpiewanego lasu, „objeżdżanie" dropi w rozległych stepach naddunajskich, osiągnięcia nagrody za nieudane rykowisko w górach w postaci ubitych niedźwiedzia i wilka, piękny opis walki dwóch byków - jeleni, zakończony zdobyciem wspaniałych wieńców obu rywali, szczęśliwe spotkanie z rysiem w górach pokrytych śniegiem, upalny dzień spędzony na łódce w szuwarach i polowanie na warzęchy, wreszcie podchodzenie w Karpatach kozic w okresie rui, uwieńczone zdobyciem dwóch capów.

Drugą połowę książeczki zajmuje nowela „Myśliwy a kłusownik", oparta na prawdziwem zdarzeniu zabicia przez leśniczego swego teścia-kłusownika.

Język jest barwny, zdjęcia — udane.

J. G.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

OESTERREICHS WEIDWERK.

Nr. 23/1936, str. 357. *„Austrja a Międzynarodowa Wystawa Łowiecka w Berlinie 1937"*. — Nawiązując do zapowiedzianej na jesieni r. ub. wielkiej Międzynarodowej Wystawy Łowieckiej w Berlinie, redakcja pisma wzywa w artykule wstępnym zarówno austrjackie koła rządowe, jak i zorganizowane łowiectwo, do podjęcia największych wysiłków, aby na tym pokazie światowym łowiectwo Austrji, posiadające tak świetne warunki, jak i znakomite tradycje, wykazało wszystkie swoje walory. Chodzi tu bowiem nietylko o stronę reprezentacyjną, ale — i to przedewszystkiem — o zapewnienie bytu austrjackiemu łowiectwu. Jest bowiem publiczną tajemnicą, że najlepsze rewiry jelenie i kozicowe, przedtem pozostające w dzierżawie zagranicznych myśliwych, przedewszystkiem niemieckich, dziś pozbawione tego źródła dochodu, chylą się do upadku. Wysoki czynsz dzierżawny, pobierany za te rewiry, pozwalał właścicielom na prowadzenie intensywnej hodowli zwierzyny, jej dokarmianie i ochronę, na dodzierżawianie enklaw i mniejszych łowisk sąsiadujących. Z odpadnięciem dzierżawców ustało dokarmianie zwierzyny, osłabła ochrona, a wzrosło kłusownictwo, w wielu wypadkach zaś właściciele zmuszeni zostali do dziesiątkowania zwierzostanu, aby utrzymać budżet w równowadze. Równolegle z tem zmniejszono personel łowiecki i strażniczy, całe zaś rodziny góralskie, przedtem czerpiące środki utrzymania z pracy przy łowiskach i podczas polowań, znalazły się wprost bez środków do życia.

Wystawa międzynarodowa w Berlinie stwarza wyjątkową okazję, do zademonstrowania światu bogactwa i różnorodności zasobów łowieckich Austrji i do zainteresowania niemi myśliwych zagranicznych. Ciągłość tradycji łowieckiej, której dowodem są międzynarodowa wystawa w Wiedniu i następnie szereg wystaw krajowych powojennych w 1926, 1931 i 1935 r., ułatwia pracę nad zebraniem i usystematyzowaniem materjału wystawowego, zaś warunki wystawy berlińskiej, nieograniczającej udziału żadnemi wymaganiami co do czasu czy miejsca zdobycia trofeum, dają możność obesłania jej w stopniu dowolnym. Należy mieć nadzieję, że zarówno świat łowiecki Austrji, jak i jej władze krajowe i związkowe docenią ważność należytego udziału w wystawie przyszłorocznej i nie poskąpią pracy i środków do zorganizowania pawilonu austrjackiego w stopniu, odpowiadającym znaczeniu łowiectwa w życiu gospodarczem Austrji.

DEUTSCHE JAGD.

Nr. 38/1936, str. 719. J. Schrapel *„Nasze kurowate w niewoli"*. — Autor, opierając się na świeżo wydanym 4-tym tomie dzieła Heinrotha p. t. „Ptaki Europy Środkowej", przytacza próby hodowli w niewoli jarząbka, cietrzewia i głuszca. Cechą ogólną tej hodowli jest nadzwyczajna trudność wyhodowania z jaja pisklęcia z powodu braku opieki matczynej i doboru odpowiedniego pokarmu. Z wielokrotnie podejmowanych przez Heinrotha prób udało mu się tylko raz wyhodować w pełni jarząbka - samczyka z jaja, wylęgniętego sztucznie w wylęgarni. Jako pożywienie dawano mu robaki gatunku Enchytreus, mrówcze jaja, koniki polne, robaki mączne i delikatną zieleninę. Ponieważ pisklę kaszlało — ogrzewano je sztucznem słońcem. Po wyrośnięciu karmiono jarząbka nasionami traw, konikami polnemi i zieleniną, a przedewszystkiem jagodami, stosownie do pory roku. — Nie mniej trudu kosztowało Heinrotha wyhodowanie cietrzewia z jaja. Po licznych wypadkach wymierania otrzymanych piskląt, jedno ostało się. Żywiono go początkowo głównie zieleniną, następnie ziarnem, grochem zielonym i żółtym oraz jagodami. Jest ciekawe, że zimą racje odżywcze muszą być mniejsze, niż latem, co się tłomaczy, zapewne, przystosowaniem ptaka do trudności w wyszukiwaniu pożywienia pod śniegiem i lodem. Dla ułatwienia trawienia musi cietrzew otrzymywać żwir i piasek, aby pokarm uległ w wolu przemiałowi. Cietrzew w niewoli tokuje na wiosnę zupełnie jak na swobodzie. — Pisklęta głuszca karmione były konikami polnemi, robakami mącznemi, dżdżownicami, jajami mrówczemi, zieleniną i jagodami. Młode głuszce są mniej trwożliwe, niż cietrzewie, a zwłaszcza niż jarząbki. Ulegają jednak, narówni z niemi, chorobom właściwym ptactwu domowemu.

J. G.

R O Z M A I T O Ś C I.

JESZCZE JEDEN ORZEŁ.

W puszczy Hołubickiej zastrzelono ostatnio wielkiego orła „bielika" o rozpiętości skrzydeł 2 metry 85 cm. Jest to ogromnie rzadki okaz, tembardziej, że orły te gnieżdżą się na Podkarpaciu i do ziem północno-wschodnich naogół nie wędrują.

DZIKIE ŁABĘDZIE.

W pierwszych dniach stycznia b. r. zastrzelił p Schmidt z Raszewa na jeziorze Ostrowickim 2 dzikie łabędzie. Łabędzie te są wielkości 1 i pół metra, a przy rozpostartych skrzydłach sięgają do 170 — 180 cm. szerokości. Każdy z nich waży ca 10 kg.

*) Redakcja „Łowca Polskiego" przyłącza się całkowicie do stanowiska Sz. Autora.

KŁUSOWNICTWO.

Wypadki kłusownictwa w majątku Pilczyce, pow. konecki.

Dnia 15—21 i 28 stycznia. Kłusownicy w liczbie trzech pojawiają się w Bukowiu, gdzie stale płoszeni, wycofują się, jednak 28-go zabijają zająca.

10 lutego. Gaj. Dyktyński melduje o kłusownikach, polujących na polach pod wsią Radwanów.

8 kwietnia. Czterech kłusowników, między innemi rozpoznany Jan Szlandera z Radwanowa, wpadają do obr. Bukowie — odparci przez gajowego i robotnika.

20 kwietnia. Pod wsią Niwki, na granicy maj. Pilczyca, gajowi Chmielewski, Gbur, Błoński i Wertka odbierają strzelbę kłusownikowi, Janowi Baranowi, ze wsi Niwk, drugiego kłusownika gonią i strzelają za nim.

14 maja. Czaty, urządzone w obchodzie Radwanów, w składzie czterech gajowych, wykrywają kłusownika nad rzeką Czarną, w zaroślach wsi Olszówka.

Goniony kłusownik ucieka przez rzekę, a osaczony ze wszystkich stron, chroni się pod opiekę sołtysa wsi Olszówka, który udziela mu osłony i w nocy ułatwia mu ucieczkę do wsi Radwanów. (Wypadek zameldowany w policji i oddany do Starostwa, które karze sołtysa grzywną).

6—10 – 17 czerwca. Gajowy Stefan Chmielewski melduje o kłusownikach, którzy polują na stawach i łąkach sąsiedniego majątku: Dziecin Fałkowski. (Właściciel tego majątku powiadomiony telefonicznie o kłusownikach).

5 lipca. Pięciu kłusowników w uroczysku Ohodża, u gaj. Dyktyńskiego, o godz. 13 w niedzielę, zakłada miot i strzela do jeleni. Ślady strzału widoczne na przeciętych i uszkodzonych sosenkach.

14 lipca. Trzech kłusowników, meldowanych w Bukowiu — nad granicą wsi Olszówka. Spłoszeni przez robotnika leśnego, strzelają do niego i wycofują się na widok nadbiegającego gajowego.

25 sierpnia. Gaj. Dyktyński melduje o tem, że na granicy lasów natknął się na 4 nieznanych kłusowników. Na alarmujący strzał gajowego odpowiedzieli dwoma strzałami, po których obrzucili gajowego wyzwiskami i wycofali się na pola wsi Radwanów.

Wrzesień. Dnia 15-go robot. leśny Drożdżowski spotyka w Bukowiu czterech kłusowników.

Dnia 27-go gajowi: Dyktyński, Wertha i Mączyński zauważyli na chłopskich polach kłusowników, którzy nieśli zabitego zająca.

Ścigani przez gajowych kłusownicy — wpadli na Bukowie, oddali tam kilka strzałów, raniąc sarnę i przeszli do wsi Stary Radwanów.

Październik. Dnia 1 wysłany patrol do obr. Bukowie płoszy kłusowników. 4-go zorganizowano czaty, na które natknęli się kłusownicy (Bukowie), w liczbie czterech. Wskutek nieuwagi i braku ostrożności obserwatora, kłusownicy wycofują się, podejrzewając zasadzkę.

Dnia 7-go. Godz. 4 rano. — Drożdżowski, w Bukowiu, podczas zwykłego obejścia granicy, spotyka czterech kłusowników, którzy mieli zamiar przejść granicę i wejść do lasu. Spłoszeni, zawracają z drogi.

Dnia 9-go, godz. 5 wieczorem. — Drożdżowski melduje gajowemu o kłusownikach w lesie. Spłoszeni strzałami uciekli.

Dnia 25-go, godz. 4.30 rano. — Gajowi Błoński i Gbur spotykają nad polami wsi Adelinów 8 kłusowników, mających zamiar przejść w młodniki majątkowe. Na strzały gajowych odpowiedzieli kilku strzałami, których jeden był karabinowy.

Listopad. Dnia 7-go. — Na czatach, urządzonych w obr. Bukowiu w sile 8 gajowych, napotkano na stanowiskach na granicy na trzech kłusowników. (Pikul, Sztandera i nieznany), których okrążono i silnie ostrzelano. Wskutek ciemności — niemożliwem było schwytanie.

Dnia 22-go. Mączyński i Dyktyński spędzają strzałami dwóch kłusowników z granicy lasów.

Dnia 30-go. Błoński i Gbur spotykają o godz. 8 rano pięciu kłusowników pod wsią Sreniawa (w dzień wydatku drzewa) i ścigają ich do wsi Sreniawa.

Grudzień. Dnia 5-go w obr. Bukowiu o godz. 2 po południu ośmiu kłusowników wpada do zagajników. Zabijają sarnę, zająca i bażanta. Strzały gajowego i robotnika leśnego wypędzają ich z lasu. Zwierzynę zabrali.

W nocy z dnia 5-go na 6-go — czterej kłusownicy wpadają do obchodu Piaski o godz. 3 rano. Żadnych śladów po zabitej lub ranionej zwierzynie gajowy nie meldował.

Dnia 6-go o godz. 8 rano gajowi odbierają broń jednemu z kłusowników, polującemu na bażanty.

Dnia 8-go między 2 i 4 rano pięciu kłusowników w obr. Piaskach zabija zająca.

Gajowy melduje o strzelbach we wsi Zaostrów. Dnia 19-go policja przy udziale 6 gajowych dokonuje rewizji w tej wsi, odbierając Młynarczykowi Władysławowi strzelbę kal. 16 i sporządzając protokół Rychowi Józefowi za stawianie oporu.

Ogółem zanotowano w 1936 roku — 27 wypadków kłusownictwa, nie licząc kilkudziesięciu wypadków strzelania na odległych lub bliskich terenach sąsiednich wsi i majątków.

Uzupełnić powyższe dane wypada szczegółem następującym: oto w nocy, z 3 na 4 stycznia b. r., na ponowie, było w lesie około czternastu, którzy z pomocą naganki zdołali o godz. 4 rano zastrzelić i wynieść dzika. Policja, jak dotychczas, nic nie wykryła, pomimo rewizji, dokonanej jakoby tego samego dnia; wie jednak, z jakiej wsi uczestnicy tego rabunkowego najścia pochodzili.

Pilczyca, dnia 9 stycznia 1937 r.

INŻ. RZELSKI.

N. B. Na telefoniczne nasze zawiadomienia o zabitej przez kłusowników zwierzynie, zdarzało się, że posterunki policji żądały od nas piśmiennego zameldowania pocztą (!), ponieważ wiadomo z drugiej strony, iż nawet policji nie wolno dokonywać rewizji bez odnośnego zezwolenia Starosty, przeto wywnioskować stąd wolno, że rewizja, dokonana po okresie czasu, jakiego formalności powyższe wymagają — nigdy nic wykazać nie zdoła. W opisanych warunkach walka z kłusownictwem staje się bezproduktywną, wobec czego dochodzi do tego, że straż leśna, dokonywująca conajmniej trzy do czterech patroli tygodniowo, ani na nabożeństwach bywać nie może, ani wypoczynku nie zaznaje, ryzykując codzienne życie. Kłusownictwo uprawiają te same wsie od 30 lat.

WŁADYSŁAW LEON ZAMOYSKI.

(—zet—) Kłusownik Jan Jakowanis ze Szklarów, pow. grodzieńskiego zabrał dubeltówkę kłusownikom Franciszka i Feliksa Margalisów. Margalisowie z zemsty zabili 57-letniego Macieja Jakowanisa, ojca Jana.

W obawie przed odpowiedzialnością, po kilku godzinach zabójcy odebrali sobie życie.

(—zet—) Wskutek kłusownictwa uprawianego na szeroką skalę na terenie majątku i gminy Łukaszewko pod Trzemesznem na ostatniem polowaniu zastrzelono tylko jednego zająca.

(—zet—) W lesie majątku Drzewiec pow. wieluńskiego nieujawniony sprawca dokonał zamachu na gajowego, 37-letniego Andrzeja Czernika.

Czernik znany był z bezwzględności, z jaką tępił kłusowników i złodziejów leśnych, toteż istnieje podejrzenie, że zamach był dziełem jednego z nich. Do Czernika, idącego drogą leśną w czasie obchodu rejonu, strzelono dwukrotnie z fuzji. Strzelający ukryty był za krzakami. Oba ładunki trafiły gajowego w szyję i klatkę piersiową. Rannego Czernika znaleziono po upływie dłuższego czasu w stanie nieprzytomnym z powodu znacznego upływu krwi, poczem przewieziono go do szpitala.

Za sprawcą zabójstwa wszczęte zostały energiczne poszukiwania. Jak się w ostatniej chwili dowiadujemy, policja jest już na tropie sprawcy.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

— W dniu 5 grudnia ub. r. odbyło się polowanie na dzierżawionych przez p. Karola Zaborowskiego terenach wsi Oleśnica, w pow. buskim.

W sześciu kotłach, wyłącznie na polach włościańskich, ubito 308 zajęcy. Ten pomyślny rezultat wyraźnie wskazuje, iż przy starannej opiece nawet na rozdrobnionej własności można się dochować pięknego zwierzostanu.

Tereny te opolowywane są co rok w kotły, a rezultat corocznie wzrasta, dając przykład, że każdy sposób opolowywania może być racjonalny, byle prowadzony był z myślą hodowlaną i gwarantował przez rok cały zwierzynie opiekę i spokój w łowisku.

Po polowaniu myśliwi byli serdecznie przyjmowani przez pp. Karolostwa Zaborowskich w Brodach, a za gościnność ich i piękne polowanie w imieniu uczestników składam im serdeczne podziękowanie.

H. R.

— Dnia 15 grudnia 1936 roku odbyło się polowanie w dobrach Skępe, pana Stanisława Zielińskiego, w lasach i polach. Zabito: 369 zajęcy, 61 królików, 122 bażanty, 2 lisy.

W polowaniu brali udział: Pan Ambasador Noel, Generał B. Regulski, Pułkownik Gilewicz, Hrabia J. Mielżyński, Baron H. Malzan, Baron K. Ike-Duninowski, Dyrektor J. Regulski, Panowie: L. Morzycki, T. Około-Kułak, S. Olszyński, K. Wosiński, Porucznik Bzowski, Major S. Wodziński oraz gospodarz polowania Stanisław Zieliński.

Najwięcej na rozkładzie miał Baron H. Malzan.

W dobrach Skępe ubito w roku 1936: 16 dzików, 8 rogaczy, 422 zające, 150 królików, 198 bażantów, 532 kuorpatwy, 913 kaczek, 7 słonek, 27 bekasów. Ogółem zwierzyny łownej 2223 sztuki. Szkodników: 7 lisów, 8 tchórzy, 172 psy, 124 koty, 152 jastrzębie, 563 wrony, 167 srok, 83 czaple, 62 łyski, 3 rybitwy. Razem szkodników 1340 sztuk.

Znamienną jest duża ilość dzikich kaczek, zabitych na stawach rybnych. Na jednym rannym ciągu p. Stanisław Zieliński zabił 94 sztuki. Takie ilości kaczek trafiają się w Polsce tylko na Polesiu.

— W dniu 9 i 10 grudnia 1936 r. odbyło się polowanie u pp. Włodzimierzostwa i Zdzisławostwa Kiwerskich w maj. Szczepice i Izabela (Wielkopolska).

W Szczepicach dnia 9 grudnia przepędzono dwa mioty na dziki. W pierwszym, pięćdziesięciodwu-hektarowym ubito 26 sztuk, przyczem strzałów padło sto jedenaście. Z drugiego siedemnastohektarowego pędzenia dziki, zalegające tam też w większej ilości, ruszone strzałami z uprzedniego przylegającego miotu, podczas przerwy śniadaniowej wyszły. Z kilku tylko sztuk pozostałych ubito dwie.

Najwięcej na rozkładzie miał p. Zygmunt hr. Mielżyński-Kurnatowski — osiem sztuk ubitych na jednem stanowisku.

W Izabeli, gdzie polowano w 8 strzelb, zabito tylko 640 sztuk (401 zajęcy, 207 kogutów i 32 króliki), gdyż z powodu gęstej mgły ławę leśno-polną w połowie, przy rozkładzie 172 zajęcy, trzeba było przerwać, a oprócz tego i kotła jednego się nie opolowało. Na rozkładzie najwięcej — 141 sztuk — miał p. Włodzimierz Kiwerski ze Szczepic. Drugi zkolei był p. Franciszek Koczorowski z Witosławia, mając sztuk 90.

Nadmienić należy, że w Izabeli w 1933 r. ubito 56 zajęcy, w 1934 — 120.

— W dobrach Ludwiki Xiężnej Czartoryskiej odbyły się w sezonie zimowym następujące polowania:

Dnia 7. XII. 1936 r. polowano w 10 strzelb w I-ej części leśnictwa Magnuszew. Ubito 1 lisa i 57 zajęcy.

Dnia 19. XII. 1936 r. opolowano II-gą część l-twa Magnuszew, gdzie w 12 strzelb ubito 70 zajęcy.

Dnia 21. XII. 1936 r. polowano w l-twie Suche. W 10 strzelb ubito 4 lisy i 46 zajęcy.

Dnia 11. I. 1937 r. odbyło się polowanie w leśnictwie Krasne, na którem w 12 strzelb ubito 129 zajęcy.

Dnia 12. I. 1937 w drugiej części tegoż leśnictwa (rew. Helenów i Suć) w 12 strzelb zabito 5 lisów, 9 bażantów, 365 zajęcy i 3 różne.

Ogółem ubito: 10 lisów, 9 bażantów, 667 zajęcy i 3 różne.

— Dnia 13 b. m. w maj. Czarna, wł. p. Zygmunta Mirosławskiego odbyło si ępolowanie na bażanty.

W 10 strzelb w 3 godziny zabito 191 bażantów, t. j. ilość, jaką gospodarz przeznaczył do odstrzału.

Widziano ponad 2.000 baażntów.

Jeśli si ęzważy, że prze pięciu laty w tej samej Czarnej było 3 bażanty (1 kura i 2 koguty), to niewątpliwie tak świetny obecny stan bażantów hodowanych na dziko należy całkowicie przypisać gospodarzowi, dzielnemu hodowcy i świetnemu myśliwemu.

W pracy łowieckiej p. Z. Mirosławskiemu sekunduje p. leśniczy Kamiński, który z powodzeniem walczy z kłusownictwem, rozpanoszonem w pow. włocławskim na dobre.

W powiecie tym władze administracyjne mogłyby wiele pomódz sprawie łowieckiej — gdyby chciały.

G.

TREŚĆ NUMERU:

M Y Ś L I W I !

nadsyłajcie fotografje do reprodukcji w „Łowcu Polskim"

Jeszcze nie wszyscy wykonali swe obietnice w sprawie Pomocy Zimowej. Czas najwyższy wpłacać zadeklarowane sumy.

Konto P.K.O. Nr. 70.200

Pomoc Zimowa

MYŚLIWI!

Nadsyłajcie fotografje do reprodukcji w „Łowcu Polskim"

KOMITET REDAKCYJNY: K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, Z. Kleszczyński, H. Knothe, J. W. Kobylański, St Koszutowski, St. Leski, M. Mniszek-Tchorznicki, E. Niezabitowski, F. A. Ossendowski, M. hr. Potocki, St. Prus-Wiśniewski, B. Przychodźko, A. hr. Rzewuski, J. Skrzypek, W. Szperling, K. Świderski, B Świętorzecki, Wł. Żabiełło, St. Zaborowski i J. Żabiński.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu — 50 gr Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem — 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogłoszenia — 1 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Łowieckiego tel. 6-66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa